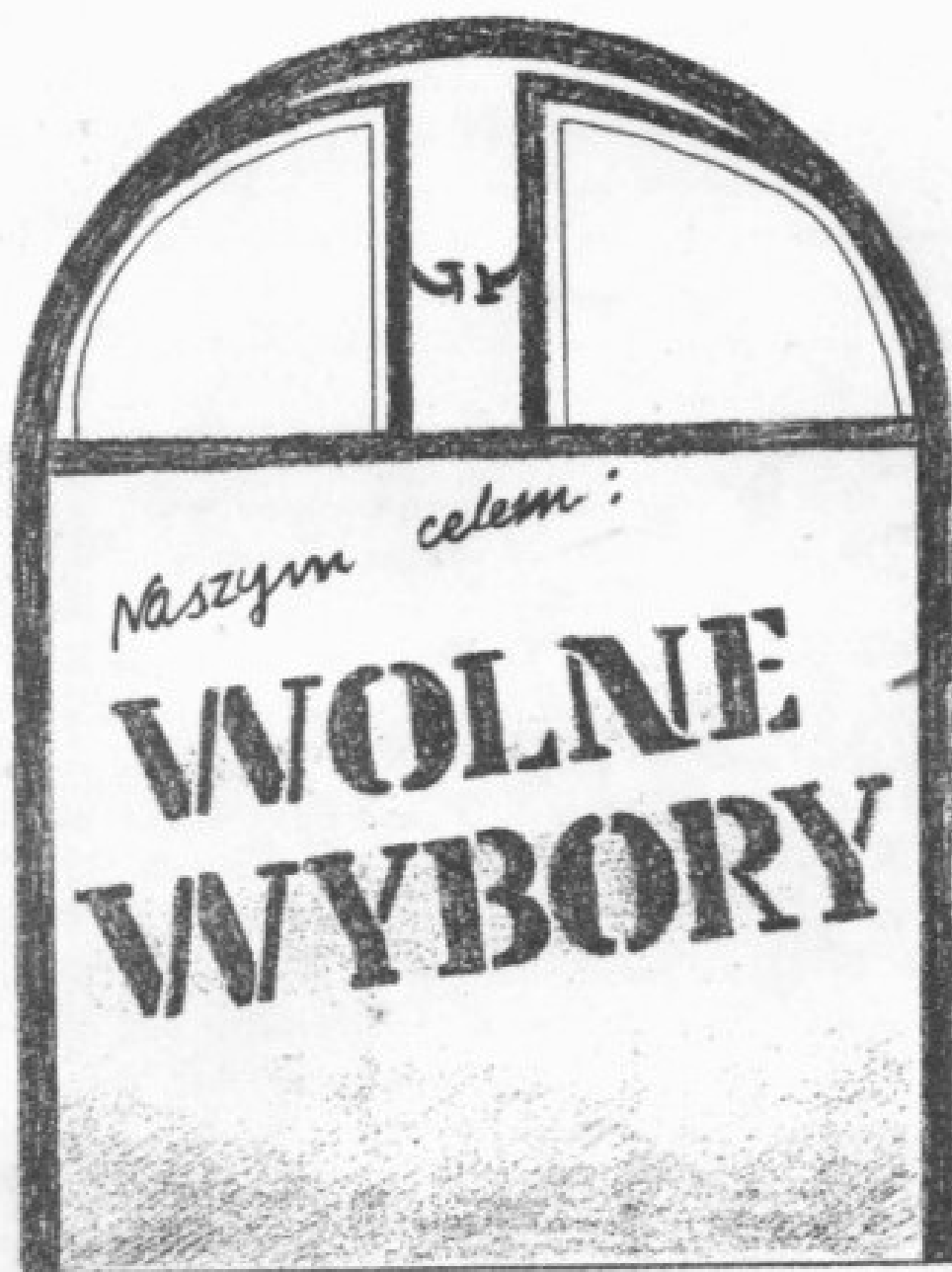


DROGA

WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ

LUTY - MARZEC 1989 r.

NR 28



pismo
Konfederacji Polski Niepodległej

DETRONIZACJA "ISTORII"

Ukazała się w "Kregu" książka Andrzeja Drawicza pod tytułem "Spór o Rosję". Przynosząc kompetentne i – co tu ukrywać – na ogół słabo znane publiczności polskiej informacje o żywych nurtach rosyjskiej kultury, praca ta niewątpliwie przyczyni się do zastąpienia domysłów na temat Rosjan – wiedza i do podważenia żywotnych stereotypów. Taki też zamiar przyświeca autorowi, który zresztą wcale tego nie ukrywa.

Zamiar godny pochwały i trudno doprawdy przecenić zasługi Andrzeja Drawicza na tym polu. Znajomość Rosjan i kultury rosyjskiej jest w społeczeństwie polskim raczej niewielka, mimo – a może wskutek – wysiłków władz. Jest to zjawisko zasługujące na osobną analizę, tymczasem zaś należy zauważyć, że ignorancja w ogóle nie jest rzeczą dobrą, zaś ignorancja dotycząca wielkiego (jeśli nie z innych względów, to przynajmniej liczebnie) narodu z naszym sifa rzeczy sąsiadującego, może zaowocować przykrymi dla nas niespodziankami. Dlatego też wysiłki Andrzeja Drawicza, by rozmiary tej ignorancji zmniejszyć, zasługują na uwagę i na szacunek.

Andrzej Drawicz jest rusycystą zamiłowanym. Kultura rosyjska nie jest dla niego li tylko "przedmiotem studiów", chociaż braku kompetencji naukowej nikt nie osmieleł się mu zarzucić. Kultura rosyjska jest dla Andrzeja Drawicza przedmiotem fascynacji podobnie, jak jej twórcy oraz ich losy. Jest to naturalnie ogromna zaleta, ale zarazem pewne niebezpieczeństwo. Autor "Sporu o Rosję" zna wartość kultury rosyjskiej i niewątpliwie z przykrością odczuwa lekceważący do niej stosunek sporej części publiczności polskiej. Ten lekceważący stosunek występuje również – co tu ukrywać – wobec rosyjskich autorów – zgodnie ze skompromitowanym już w Ewangelii sposobem myślenia: "Czyż może być coś dobrego z Nazaretu?" (J. 1, 46) Dlatego też Andrzej Drawicz nie ustaje w wysiłku przekonywania, że rosyjscy pisarze są ludźmi wybitnymi i godnymi najwyższego szacunku. Naturalnie ma w tym całkowita racja, ale czasami można odnieść wrażenie, że w zapale przekonania nas do Rosjan namawia nas do przyjmowania za dobrą monetę rzeczy wątpliwych. Wrażenie to odniosłem przy lekturze drugiej części rozdziału zatytułowanego "Jeszcze Rosja nie zginęła", a noszącej tytuł: "Pisane w zaciętrzewieniu". "W zaciętrzewieniu" napisana jest zdaniem autora "Sporu o Rosję" książka Michała Hellera i Aleksandra Niekricza "Utopia u władzy – historia ZSRR od 1917 roku do naszych dni". Andrzej Drawicz określa to dzieło "jako gwałtowny pamflet polityczny przeciwko władzy sowieckiej". Wprawdzie zawiera ona "duży ładunek informacji rzeczowych i uszregulowanych chronologicznie i problemowo, ale poddanych właśnie pamfletowej optyce i retoryce". Z tego właśnie powodu – owej "optyki i retoryki" – książka Hellera i Niekricza nie zasługuje na miano "historii ZSRR": "nie jest to prawda i sformułowanie to jest o wiele za szerokie" – powiada Andrzej Drawicz.

Pisze on, że byłoby lepiej, gdyby autorzy zatytułowali swoją książkę zamiast "Historia ZSRR" np. "Historia władzy sowieckiej". Wydaje mi się jednak, że taka zmiana niczego w gruncie rzeczy by nie

zmieniła; historia ZSRR jest bowiem w gruncie rzeczy historią rozrostu władzy sowieckiej, doprowadzonego do granic możliwości. Rozrost ten odbywa się rzecz jasna kosztem społecznej autonomii i w rezultacie tego procesu społeczeństwo ZSRR schodzi ze sceny dziejowej jako podmiot na długie lata, a może nawet do dnia dzisiejszego – jest jedynie przedmiotem animujących bądź usypiających zabiegów władzy.

Taka jest w gruncie rzeczy teza książki "Utopia u władzy" i nie zaprzecza tej ocenie uwaga Andrzeja Drawicza, że uzyskany efekt różni się od oczekiwanego przez władzę. Zgodzić się zresztą z tą uwagą można tylko w tym przypadku, że przyjmuje się za dobrą monetę publiczne enuncjacje władzy sowieckiej na temat "nowego socjalistycznego człowieka" i jego przymiotów. Można takie założenie przyjąć, ale można również dopuścić myśl, że deklaracje owe stanowiły również jeden z elementów procesu wyzuwania społeczeństwa z podmiotowości, a dokładniej – procesu LIKWIDACJI SPOŁECZEŃSTWA w celu zastąpienia go MASAMI. Argumenty jakie przywołuje Andrzej Drawicz na uzasadnienie swego sprzeciwu wobec tezy, że władzy sowieckiej się udało, są obosieczne: owa "nieforemna, mrowiąca się, zinowiewowska KUPA nonsensu" jest, być może zamierzonym, docelowym stanem, jest właśnie MASA, a jej opór – inercyjnym oporem materii.

Czy rzeczywiście "pamfletowa optyka i retoryka" dyskwalifikuje te książki jako historie? Jeśli przyjmiemy, że pamflet jest utworem polemicznym o treści złośliwej, to nazwanie książki Hellera i Niekricza pamfletem wydaje się pewna przesada. Owszem, jest to utwór polemiczny ipso facto, pozostający w opozycji wobec kolejnych edycji oficjalnej historii ZSRR. Ale złośliwy? To określenie (a "pamfletowa optyka i retoryka" niewątpliwie je implikuje) wydaje się niedostatecznie uzasadnione. Książka Hellera i Niekricza zawiera wyłożoną w tytule tezę: rzady utopii, tzn. opis próby zaaplikowania marksistowskiej recepty na powszechną szczęśliwość, czy też poczynań ściśle pragmatycznych, maskowanych tym właśnie ideologicznym parawanem, co miało miejsce w Rosji poczynając od roku 1917. Kolejne fazy tej próby stanowią bez wątpienia istotną treść historii ZSRR, fazy oglądane zarówno jako perypetie organizatorów, jak i z punktu widzenia zmian zachodzących w społeczeństwie w rezultacie tych zabiegów. Książka Hellera i Niekricza w sposób dokładny przedstawia kolejne etapy tego procesu, ukazując zarazem spustoszenie tym spowodowane również na obszarze kultury i sposobu życia społeczeństwa, który czasami nazywany bywa charakterem narodowym. Taka optyka wynika z przyjętego – moim zdaniem trafnie – punktu widzenia autorów "Historii ZSRR", ale uważam, że nie ma najmniejszego powodu do nazwania jej "pamfletową", gdyż trudno w przyjęciu tego właśnie punktu widzenia dopatrzeć się jakiegokolwiek złośliwości, czy nawet złośliwej intencji – żeby "dodać czerwonego" – jak to sugeruje Andrzej Drawicz. Sama treść książki jest prostą konsekwencją przyjętego punktu widzenia, a konsekwencji trudno Hellerowi i Niekriczowi odmówić.

Powróćmy jeszcze na moment do polemicznego charakteru książki. Jak wspomniałem, jest ona polemiczna ipso facto, gdyż przyjęcie pozycji mówiac w skrócie – niemarksistowskich, nadaje tworzonemu dziełu taki charakter. Ale zdaje sobie sprawę, że to nie ta okoliczność mogła skłonić Andrzeja Drawicza do użycia określenia "pamflet". Mogę się tego, rzecz jasna, tylko domyslać, gdyż

nie znajduje w "Sporze o Rosję" stwierdzeń wyrażonych *expressis verbis*. Chodzi o to, że Heller i Niekricz nie tylko przyjmują niemarksistowski punkt widzenia, ale – co niedwuznacznie wynika z ich książki – stawiają tezę, że cała rewolucja, a ściślej biorąc – cały socjalizm to potworna hucpa, mrzonka półgłówka, która zahipnotyzowała miliony ludzi, już to apelując do ich uczuć szlachetnych, już to najniższych instynktów, a często do obydwu jednocześnie. Heller i Niekricz **dowodzą** na kartach swej książki, że nie ma żadnej "Sprawy", że historia ZSRR to dzieje krwawego obfedu, który **przemocą** został **narzucony** narodowi rosyjskiemu, obfedu, w narzucaniu którego współdziałała znaczny część elity intelektualnej tego narodu.

Takie postawienie sprawy jest naturalnie czymś więcej niż polemika *ipso facto*; jest to już zanegowanie ostatniej wspólnej płaszczyzny, na której mogą stykać się historie oficjalne i niemarksistowskie lecz polemiczne tylko *ipso facto*. Ta płaszczyzna jest milczące uznanie, że leninowska rewolucja jest w rzeczy samej próbą realizacji jakiejś sprawy której istnienie i rzeczywista waga może, przynajmniej do pewnego stopnia, usprawiedliwić wszystkie zbrodnie. Tymczasem książka Hellera i Niekricza KRZYCZY do czytelnika, że żadnej takiej "Sprawy" nigdy nie było, a co więcej – że twierdzenie, jakoby istniała jakaś "Sprawa", jest kłamliwa, podła, tchórzliwa próba znalezienia alibi przez zbrodniarzy przerażonych i zrozpaczonych nieodwracalnością swoich zbrodni.

Jest to punkt widzenia raczej rzadko spotykany u tzw. "poważnych historyków", może dlatego, iż zaliczanie do grona "poważnych" wymaga uprzedniego powstrzymania się od zajęcia tego właśnie punktu widzenia. Tak przynajmniej było do czasu ukazania się książki Hellera i Niekricza. Co jest jednak dziwne, to fakt, że przyjęcie takiego samego punktu widzenia w odniesieniu do historii narodowego socjalizmu wcale nie było dyskwalifikujące, przeciwnie – zasadniczo mogło uchodzić za dowód przenikliwości i głębokości sądu. A przecież – jeśli nie liczyć bełkotu historyków marksistowskich o "faszyzmie jako ostatnim stadium kapitalizmu monopolistycznego", w gruncie rzeczy uderza beznadziejność prób zracjonalizowania tego fenomenu, a zwłaszcza prób zracjonalizowania fascynacji tą zbrodniczą utopią. A przecież hitleryzm jest znacznie bardziej racjonalny (może za wyjątkiem kwestii rasowej) od komunizmu, jeśli naturalnie można porównywać w ten sposób systemy, u podstaw których tkwi obfed.

Czy tkwi obfed? Uważam, że lektura "Mein Kampf" Adolfa Hitlera i chociażby "Manifestu Komunistycznego" Karola Marksa i Fryderyka Engelsa dostarcza na to dowodów. Może się oczywiście mylić, ale jest to już inny temat do dyskusji, w której – jak sądzę – dowód przeciwny byłby trudny do przeprowadzenia. Skoro zaś tak, to uważam, że nie ma dostatecznych podstaw, by uznać, iż na skutek owej intensywności staje się pamfletem. Że – krótko mówiąc – nie ma dostatecznej podstawy do odmówienia jej waloru historii ZSRR z tego przynajmniej powodu.

A teraz o "zaciełtrzewieniu". Nie da się ukryć, że Heller i Niekricz nie piszą historii Armii Zbawienia, ale historii ZSRR, a więc państwa, którego rząd obciążony jest zbrodniami, jak rzadko który. Trudno im się dziwić, że mają do tych zbrodni stosunek emocjonalny. Wydaje mi się, że jakiś

stosunek emocjonalny do tych zbrodni ma każdy, kto z tych powodów interesuje się historią ZSRR. Być może, że byłoby lepiej, gdyby autorzy nie dopuścili do uzewnętrznienia się owego stosunku emocjonalnego na kartach książki, albo – skoro już do tego dopuścili – że byłoby lepiej, gdyby wrażenie wywołane włączaniem do narracji stosunku emocjonalnego złagodlili wtretami w rodzaju: "ale z drugiej strony...", albo "nie należy jednak zapominać, że..." itp. Być może, chociaż "z drugiej strony" taki chwalebny obiektywizm nie w każdej sytuacji jest oceniany pochlebnie. Wyobraźmy sobie historyka piszącego emocjonalnie (co czyni w zasadzie każdy) o zagładzie Żydów w czasie II wojny światowej, który dawszy już upust swojemu stosunkowi emocjonalnemu, zacząłby w ten sposób obiektywizować: straszna, wołająca o pomstę do nieba zbrodnia, ale z drugiej strony... Nie mam najmniejszej wątpliwości, że na takiego historyka rzuciliby się wszyscy humaniści i rozszarpali go na strzępy. Wcale nie zasłużyłby on sobie na zaszczytny przydomek obiektywnego, ale w najlepszym razie naraziłby się na zarzut atrofii moralnej i to albo za brak należycie emocjonalnego stosunku, albo za zuchwałstwo dodania: "ale z drugiej strony..." A przecież, jeśli przy beznamiernym nawet opisie zbrodni popełnionych na ukraińskich czy rosyjskich chłopach nie doda się owej wyważającej "drugiej strony", to zarzut braku obiektywizmu i co za tym idzie – braku "powagi" jest nieuchronny.

Wydaje mi się, że domniemana konieczność tego "wyważania" była dotychczas uzasadniona domniemaniem istnienia jakiejś "Sprawy", która miała dostarczać moralnego uzasadnienia owym przyprawiającym o rozpacz rzeziom. Ale Heller i Niekricz właśnie istnienie tej nieszczęsnej "Sprawy" kwestionują, a skoro tak, to ujawnienie na kartach książki emocjonalnego stosunku do bezzasadnych (tzn. bez wniosowego uzasadnienia) zbrodni, które jednak w sposób ZASADNICZY ukształtowały historię ZSRR oraz charakter "człowieka radzieckiego", jest jak najbardziej na miejscu. Co więcej – brak wyeksponowania bezzasadności tych zbrodni czyniłby pewne etapy historii ZSRR niezbyt zrozumiałymi. Skoro zatem autorzy doszli do wniosku, że bezzasadność tę najlepiej wyeksponują środkami oddziałującymi emocjonalnie (a trzeba przyznać, że robią to z godnym podziwu mistrzostwem), to trudno im czynić z tego tytułu jakies zarzuty. Zwłaszcza "zarzut zaciętrzewienia".

Nie chcę, broń Boże, przez to powiedzieć, że Andrzej Drawicz stawia taki zarzut z chęci znalezienia jakiegoś usprawiedliwienia dla zbrodni. Broń Boże! Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nad tym fragmentem "Sporu o Rosję" unosi się tonizujący apel: "nie sądźcie!" Zapewne, ma on jak najbardziej chrześcijański rodowód, ale chrześcijański rodowód ma również wezwanie do dawania świadectwa. A książka Hellera i Niekricza takiego właśnie świadectwa dostarcza. Dopuszczenie tego świadectwa jest niezbędne, jeśli nasze życie umysłowe nie ma przypominać dyskusji członków orkiestry Gróla Zbawnucego, prowadzonej w obecności Goryllium ukrytego w szafie (zob. Stanisław Lem – "Edukacja Cyfrania – Opowieść Pierwszego Odmroźńca").

Jak wspominałem, Andrzej Drawicz jest rusycystą zamifowanym, stąd też każda krytyka rosyjskiej literatury lub jej twórców może sprawić mu przykrość. Zwłaszcza krytyka zabarwiona

emocjonalnie. Nic więc dziwnego, że żywo zareagował na oskarżenie wysunięte pod adresem radzieckiego środowiska literackiego przez Hellera i Niekricza, którzy stwierdzili, że "duchowe życie kraju" przy aktywnej pomocy "inteligencji twórczej", "władców myśli", zostało oddane całkowicie w służbę państwa, w służbę Stalina. Sądze jednak, że na to nie wolne od emocjonalnego stosunku oskarżenie autor "Sporu o Rosję" również zareagował emocjonalnie, nazywając zacytowaną tezę "grubym uproszczeniem" i złośczać się na "jadowite cudzysłowy". Cudzysłowy rzeczywiście brzmią dzisiaj ironicznie, ale czy w swoim czasie obrażano się powszechnie o określenie "inżynierowi ludzkich dusz"? Fakt, że to, co wówczas wydawało się wonią kadzidła, dzisiaj po prostu śmierdzi, ale ta metamorfoza nie jest przecież winą Hellera. On, pisząc dla czytelnika współczesnego, tylko ją **zauważa**, a tego za złośliwość **historyków** chyba poczytywać nie można. Zresztą nie wszyscy i wtedy dawali się tymi kadzidłami odurzać, co autorzy "Historii ZSRR" również **zauważają** i skrupulatnie odnotowują. Rosyjska literatura okresu sowieckiego ma swoich sprawiedliwych i to więcej niż dziesięciu, więc nie ma powodu do przesadnych obaw, że z przyczyny tego rodzaju braków podzieli los Sodomy i Gomory. Ale w takim razie nie ma chyba potrzeby "podciągania" wątpliwych przypadków do poziomu nieskazitelnosci, czy to ze względu na "wymowne milczenie", czy "osłanianie myśli", jak to elegancko określa Andrzej Drawicz. Ewentualne późniejsze tragiczne losy niczego tu nie zmieniają; okoliczność, że niejeden entuzjasta głosu "towarzysza Mauzera" doświadczył na sobie samym skutków jego przemówień, przecież entuzjazmu tego nie przekreśla. Ale też – niestety – jego praktycznego rezultatu, jakim było zwyrodnienie duchowego życia kraju. Trudno sobie wyobrazić, by operacja zsowietyzowania kultury rosyjskiej mogła być w ogóle do pomyslenia bez pomocy inteligentów, w tym również pisarzy. Naturalnie każdy spośród nich mógł być prywatnie wspaniałym człowiekiem, ale już Rzymianie zauważyli, że "senatores boni viri, sed senatus mala bestia". (senatorowie dobrzy ludzie, ale senat – wściekłe zwierze). I autorzy "Utopii u władzy" oceniają ów "senatus" literatury radzieckiej, a przy takim spojrzeniu oskarżenie o aktywną pomoc nie jest, jak sądze, żadnym uproszczeniem, a już z pewnością nie "grubym". Na tym tle próba obrony Gorkiego podjęta przez Andrzeja Drawicza budzi moje zdumienie w świetle **faktów** przytoczonych w książce Hellera i Niekricza. Gorki nawołujący do "zabijania wrogów" w okresie kolektywizacji, wynoszący pod niebiosa "działalność kulturalną" czekistów w obozach, czy z zapalem opiewający pracę niewolniczą, to przecież Caryca z poematu Aleksandra Oniegowa "Caryca i zwierciadło", mówiąca: "I cóż, że dymią krematoria? Toż w nich przetapia się historia!"

Wydaje się, że Andrzej Drawicz przesadził w krytycznej ocenie książki "Utopia u władzy". Jej oryginalność i rzetelność polega moim zdaniem na tym, że jej autorzy dokonali udanej próby zdekonstrukcji owej nieszczęsnej "Historii" i w miejscu dotychczas jakoś oswojonym z niej rozpaczliwa otchłań, przy pomocy której niczego już usprawiedliwić nie można. A może w takim razie nie trzeba? Bo przecież sprawiedliwość usprawiedliwień nie potrzebuje.

ŚLEDZTWO

(fragment wspomnień)

Na dworcu kolejowym romów z przyjacielem przerwało mi trzech mężczyzn. Oświadczyli, że są z Urzędu Bezpieczeństwa i zażądali udania się z nimi. Dowodów osobistych nie sprawdzali i nie rewidowali nas. My również nie zażądaliśmy wylegitymowania się, gdyż nie było to praktykowane w latach stalinowskich. Wymówienie dwóch liter wystarczało i skutecznie paraliżowało.

Z dworca kolejowego do siedziby wojewódzkiego UB i MO szliśmy ponad kilometr. Miałem przy sobie karteczkę, którą otrzymałem przed godziną. Zawierała informacje o miejscu i celu zaaranżowanego spotkania. Świadomość posiadania dowodu rzeczowego w wewnętrznej bocznej kieszeni marynarki paraliżowała mnie i uniemożliwiała znalezienie sposobu pozbycia się kartki. Wiedziałem, że nie mogę z dowodem rzeczowym znaleźć się w siedzibie UB. Nie umiałem pozbyć się kartki. Kiedy zobaczyłem, że jesteśmy prowadzeni przez pięciu funkcjonariuszy i nie można bez zwrócenia uwagi wykonać żadnego ruchu ręką, postanowiłem ratować się ucieczką. Od budynku dzieliło nas zaledwie 200 metrów, a do bramy kończącego się parku 30 metrów. Zacząłem uciekać. Kiedy usłyszałem: "stój, stój bo strzelam" i cztery oddane za mną strzały, byłem już oddalony o 60 - 70 metrów. Nagle na drodze "wyrósł" stolik rozstawiony przed kawiarnią. Nie miałem czasu ominąć przeszkody. Przeskoczyłem stolik i krzesła. Zawadziwszy nogą o krzesło po drugiej stronie stolika przemierzyłem szczupakiem po żwirze około 5 metrów. Poderwałem się do dalszej ucieczki i sięgnąłem ręką do kieszeni po kartkę, którą uciekając rwałem na drobne kawałeczki. Po pozbyciu się kartki poczułem lekkość, choć strzały sypały się za mną. W chwili gdy dobiegłem do skraju parku zostałem osaczony z przodu. Nie widząc dalszej możliwości ucieczki stanąłem. Dobiegli do mnie trzej z tyłu. Po wielu razach, które otrzymałem, uchwyceni za ręce, wracałem w kierunku Komendy. Ujrzałem mojego przyjaciela leżącego na ziemi i dwóch funkcjonariuszy nad nim z rewolwerami wymierzonymi w jego plecy. Kiedy zbliżyliśmy się, kazano mu wstać. Dobiegło do nas dziesięciu cywili z bronią w ręku. Na odgłos strzałów biegło w naszą stronę coraz więcej funkcjonariuszy. Ostatnie sto metrów przemierzaliśmy w otoczeniu około czterdziestu osób z bronią gotową do strzału. Z chwila, kiedy przekroczyliśmy bramę Urzędu Bezpieczeństwa i zgromadzeni ludzie nie mogli nas widzieć, posypały się w naszą stronę wyzwiska, a "dżentelmeni" przeciskali się do nas żeby uderzyć, kopnąć lub choćby tylko pchnąć. Ujrzałem autentyczny wyścig pracy, prześciganie się w demonstracji nienawiści przeciwko nam, dwóm chłopcom zaledwie 18-letnim.

Wprowadzono nas do budynku, na pierwsze piętro, ciągle bijąc. Na korytarzu rozdzielono nas wprowadzając do dwóch oddzielnych pokoi.

Stałem przed 15 mężczyznami, którzy zrewidowali mnie zabierając dokumenty. Zapytali mnie o przynależność do nielegalnej organizacji i o broń. W odpowiedzi na moje zaprzeczenie, że nic nie wiem, zaczęto bić mnie pałkami i nogami od krzesła. w przerwach wracali do pytań, ale już ordynarnie i natarczywie: "gadaj... nazwiska... kontakty... broń... bo cie tu zaraz szlag trafi..."

szybko! Ponowna ręczna perswazja przy akompaniamencie przekleństw i wyzwisk: "ty bandyto, skurwysynu, reakcjonisto, synu wyzyskiwacza, wroga ludu, kufaka, ty szpiclu imperializmu". Powalono mnie na ziemię, zrzucono pantofle i bito w piety, kopano. Stosowano najokrutniejsze metody bicia, wywołujące niehumanitarny ból. Już tylko wyłem jak zwierzę. Po 2 - 3 godzinach, gdy nie pomogły gwałtowne środki, kazano mi się odwrócić twarzą do ściany. Pobity posiniaczony stałem i zerkałem w stronę okna rozmyślając jakby tu uciec. Choćby i zabili, ale niech się nie zneć. Zaczęłem badać swoją sprawność - czy mógłbym biec. Delikatnie unosiłem kolejno nogi. Bolały, ale jeszcze były sprawne. Szyja obolała, ramiona i plecy piekły, przy poruszaniu rękami odczuwałem ból. Jedyne pragnienie - wyskoczyć oknem.

W tym momencie usłyszałem: "odwróć się". Ujrzałem znajomego. Na pytanie "czy go znasz?" - odpowiedział - "tak". Na drugie pytanie, czy byłem członkiem organizacji odpowiedział również twierdząco. Zaczęłem z gniewem zaprzeczać - że go nie znam i nigdy nie widziałem. Wtedy zabrano go natychmiast, a mnie ponownie zaczęto bić. W przerwie znećania się śledczy powiedział: "ty skurwysynu, niedługo będziesz śpiewał, ale my będziemy chcieli słuchać". Wśród śledczych ujrzałem przewodniczącego ZMP z gimnazjum, do którego chodziłem. Na 400 słuchaczy było ich zaledwie sześciu w 1947 roku. Przystąpił on do przesłuchania i zaczął pytać o księdza prefekta i kiedy należałem do Sodalicii Mariańskiej. Odpowiedziałem, że należałem do Sodalicii aż do chwili jej rozwiązania, a daty nie pamiętam. Napisał datę o sześć miesięcy późniejszą od dnia likwidacji Sodalicii ja oczywiście nie chciałem takiego zeznania podpisać. Znowu zaczęto mnie bić i uderzono głową o ścianę. Następnie, trzymając za kołnierz marynarki poprowadzono mnie do okna. Ujrzałem w kłatkach wilki i niedźwiedzie. "Jak posiedzisz z nimi skurwysynie noc, to będzie po tobie" - oświadczyli. Ja półprzemyślnie zaprzeczałem tylko, czasem w połowie pytania, nie wiedząc o co chodzi. Wprawiało to ich we wściekłość i wywoływało gwałtowną agresję. Sywały się na mnie razy, których ani zliczyć nie było sposobu, ani dokładnie odtworzyć. Przerazenie było tak wielkie i szok, że nie byłem w stanie w ogóle myśleć. Śmierć przyjąłbym z większą ulgą niż to osamotnienie i znećanie. Byłem pierwszy raz w życiu bez moralnego wsparcia, słowa otuchy i pocieszenia. Sprawdzałem się w wielu sytuacjach, ale próba jakiejś zostawienia wydawała mi się nie do zniesienia.

Po 4 - 5 godzinach zaczęto mnie wypytywać o nazwiska kolegów z gimnazjum. Odpowiedziałem, że znam takich. Wśród wielu nazwisk wymieniono Zdzisława X. Odpowiedziałem, że znam, że chodził do równorzędnej klasy. Śledczy napisał protokół, że go znam i że należał do nielegalnej organizacji. Odmówiłem podpisania. Wtedy jeden z oprawców chwycił mnie za rękę i siłą zbliżył do protokołu, a inni z tyłu bili mnie po głowie i szyi. Gdy nie zmusili mnie do podpisu, śledczy napisał drugi protokół, że tylko znałem X. Taki dopiero protokół podpisałem.

Wyprowadzili mnie korytarzem do schodów w dół, aż do piwnicy. Na parterze otworzono kraty. Zeszliśmy do piwnicy. Prowadzący mnie uderzyli w kraty i zjawił się milicjant. Powiedzieli, że to nie do niego i wkrótce przyszedł klucznik w wojskowym mundurze. Oddano mnie klucznikowi za

pokwitowaniem. Pozostałem sam z klucznikiem, a ten do mnie: "szto bandit, zgnijosz tut kak sabaka". Przyjąłem to obojętnie. Było mi już wszystko jedno. Po podpisaniu depozytu, którego ani nie czytałem, ani nie sprawdzałem, zaprowadził mnie do celi 4. Otworzył grube, co najmniej 40-centymetrowe żelazne drzwi. Wszedłem i w półmroku ujrzałem 8 osób. Gdy mi podawali ręce do powitania, pytali o papierosy i o nazwisko. Jeden z nich podszedł do mnie i mówi: "to ty jesteś....?" Odpowiedziałem, że tak, a on mówi: "... znamy się". Jakże poczułem się szczęśliwy, że znalazłem się wśród ludzi, którzy mnie nie biją i nie obrażają. Jeden starszy, około 60 lat pyta: "bili?" odpowiedziałem "tak". "To zdejm marynarkę i koszulę". Zdejałem jedwabną granatową koszulę, a on wziął chusteczkę do nosa, namoczył w misce wody i zaczął przykładac do brązowych pleców. Pozostali mówili: "to sukinsyny ". Jeden z nich pyta za co mnie zamkneli. Odpowiedziałem, że nie wiem. "To się na górze dowiesz jutro".

Gdy tak biadali nade mną, że takiemu dziecku zdrowie zabierają, okładający mi mokrą chustką plecy mówił: "nic mu nie robią, przetrzyma. Młody nie bój się. Będa bić się ze trzy, cztery tygodnie i przestana."

Po odbytej konfrontacji wiedziałem już, że jest wyspa, ale byłem z siebie zadowolony, że niczego nie powiedziałem.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Dziesięć osób ze mną w celi. Łóżka żelazne, na nich deski bez slenników, koców i poduszek. Pytam - jak się spi, mówią, że najlepiej spać na spodniach, marynarka się przykryć a buty pod głowę. Na moje pytanie o koce zaczęli się śmiać. "To i tak luksus, bo spi się na fózku. Do niedawna to na mokry beton rzucali deski i tak się spało.

19 marca przyszedł klucznik, kazał zebrać deski i wystawić na korytarz. Kazali nam "wyjść i wniesć sześć fózek z dopasowanymi deskami. Oświadczono nam, że jest to prezent na imieniny od towarzysza Józefa Stalina i nakazano je szanować."

Zaczęło szarzyć, w celi nic prawie nie było widać. Widzę, że zdejmują spodnie, marynarki, po dwóch układają spodnie na jednej pryczy, kładą się i jedna marynarka zakrywają nogi, a druga ramiona. Ja sam położyłem się na spodniach i przykryłem marynarką. Pogoda lipcowa była upalna, ale w piwnicy było zimno. Skuliłem się i chociaż okryty marynarką nie mogłem zasnąć. Moi współtowarzysze chrapali, a ja dopiero nad ranem zdrzemnąłem się. Wkrótce usłyszałem stuk w drzwi i krzyk - pobudka! Zaspany zerwałem się, ubrałem i pytam: "Co dalej?" Uświadomiono mi, że zaraz pojedziemy się umyc i odbyć "kiblowanie". Na pytanie, co to jest, wyjaśniono mi, że zabiera się "kibel"(naczynie żelazne stojące w kącie), wylewa się do zlewu, płucze i przynosi do celi. Należy również skorzystać z ubikacji i jest nakaz mycia się do pasa.

W tym momencie otworzyły się drzwi i klucznik nakazuje wychodzić. Dwóch wzięło naczynie i wszyscy poszliśmy wzdłuż korytarza, gdzie było pięć sedesów i pięć zlewów. Pierwsza plątka zajęła sedesy, dwóch zdejmując koszulę i myje się zimną wodą. Mydła nie ma, ręczników także. Po umyciu wyciągneli chusteczki do nosa i wycierają się. Przyglądam się z niedowierzaniem. Wtedy jeden ze współtowarzyszy mówi: "Zdejmuj koszulę i zamocz się bo ci klucznik jeszcze wpięprzy". Okazało się, że mycie było obowiązkowe do

pasa. Ot, taka sobie resocjalizacja dla nowych czasów postępu i socjalizmu.

Stojący obok mnie mówi: "Wsiadaj na sedes, bo my w celi nie smrodzimy, można się tylko odlać". Ledwo zdążyłem zamoczyć się do pasa, drzwi otworzyły się i klucznik kazał wychodzić. Wyszedłem mokry, bo chusteczka jeszcze nie wyschła. Doradzono mi wytrzeć się zewnętrzną stroną marynarki. Położyłem się na swojej pryczy, ale zwrócono mi uwagę, że spać ani leżeć nie wolno od pobudki, która obowiązuje od godziny 4 piętnaście aż do apelu, do godziny 21-22, tj. do czasu, kiedy klucznik otworzy drzwi i policzy aresztowanych. Zastanawiałem się, dlaczego budzą o czwartej, a nie o siódmej, skąd te rygory, na kogo i dla kogo. Słyszałem o wielu zbrodniach z czasów okupacji niemieckiej i radzieckiej na wschodzie, ale tutaj są Polacy. Skąd oni wzięli ludzi, którzy stosują takie rygory, znecają się i dokuczają współrodakom. Walł się mój świat idei i dobra. Pozostawała zasada walki dobra ze złem, Boga z szatanem. To jedyny sens, logiczne wyjaśnienie postępowania aredowników socjalizmu. Kiedy tak siedziałem na pryczy, przysiadł się do mnie jeden ze współtowarzyszy i powiedział: "Jak cię wezmą na śledztwo, to obserwuj na korytarzu, czy nie leży tam jakiś niedopałek. Szybko go złap i do kieszeni. W kieszeni przerwij bibułkę i wyrzuć. Te trochę tytoniu nie zauważą, choćby ci rewidowali przed wpuszczeniem do celi. Bo wiesz papierosów nie dają, a tak by się zapaliło. Możesz i z popielniczki wygarnąć pety jak się uda, może śledczy wyjdzie z pokoju, może w okno spojrzeć. Tydzień temu wywieźli faceta do więzienia, ten miał spryt. Ile razy go wzięli na śledztwo, to zawsze coś przyniósł. Siedział za nielegalną organizację. Lali go ile wiezie. On się nie zafamał, udawał frajera i przygłupiego, ale niczego nie powiedział. Raz wzięli go na śledztwo. Śledczy mówi - no, będziesz skurwysynu mówił? - on na to, że będzie, tylko palić mu się chce. Dali mu papierosa, a ten pyta, czy może zabrać pety (a popielnica była czubata). Pozwolili mu, ale jak nie chciał mówić, to go bili. Jęczał i z kieszeni pół petów przerzucił za koszulę. Kazano mu wyrzucić pety, ale i tak za koszulą przyniósł. To był cwaniak." Zaczął pouczać mnie dalej, że jak będę szedł po schodach i po korytarzu to mam się rozglądać, bo tam też leżą i można złapać. Niektórzy ubowcy to nawet pozwalają.

Pouczenia te przerwał trzask otwierających się drzwi. Dwóch więźniów na skinienie klucznika wybiegło na korytarz i przyniesli spod sąsiedniej celi kocioł z kawą. Poszli również do służbowego stolika, skąd przyniesli 8 pajdek chleba i osiem aluminiowych misek. klucznik chochlą wlał kawę do misek, odciągnął kocioł i zamknął drzwi. Wszyscy usiedli na pryczach i trzymając miski z kawą na kolanach jedli gliniasty, ciemny chleb. Napilem się z miski łyk kawy i odstawiłem rezygnując z chleba. Mój znajomy powiedział: "Tak będzie przez 2-3 dni, później będzie ci smakował. Takiego dobrego chleba nigdy nie jadłeś. Zobaczysz za tydzień." Inny wtóruje mu: "Na obiad kaszka z wodą, a na kolację woda z kaszą i też dobrze". Najstarszy podsumował: "Zł budiesz i kuszał budiesz, ale o grzesznych rozkoszach nawet nie pomyślisz."

Mój chleb, gdy stanowczo powiedziałem, że nie będę jadł, podzielono na równe siedem kesów i każdy zjadł swój przydział. Kawa też się podzieliła. Po śniadaniu wszyscy złożyli miski jedna w drugą i postawili przy drzwiach. Siedzący na pryczy rosły młody człowiek z Zamojszczyzny poruszył trwożnie ramionami i powiedział: "Ciekawy jestem, na kogo dzisiaj kolej, kto pójdzie na górę. Chyba ty nowy."

Mój chleb, gdy stanowczo powiedziałem, że nie będę jadł, podzielono na równe siedem kesów i każdy zjadł swój przydział. Kawa też się podzieliła. Po śniadaniu wszyscy złożyli miski jedna w drugą i postawili przy drzwiach. Siedzący na pryczy rosły młody człowiek z Zamojszczyzny poruszył trwożnie ramionami i powiedział: "Ciekawy jestem, na kogo dzisiaj kolej, kto pójdzie na górę. Chyba ty nowy."

Ale dzisiaj sobota, to może nie będzie im się chciało sukinsynom znęcać. Dla nich to nie praca, to przyjemność." "Tak, dla nich to radość jak mogą bić" – wtórował mu starszy rolnik. Cała jego rodzina siedziała – trzech synów w wieku 22, 13 i 12 lat, żona, córka – posadzona o współpracę z "bandami", jak nazywano oddziały WiN, NSZ i KO AK. Zacząłem myśleć: jak to, to ja należałem do bandy? Przecież Niemcy polską partyzantkę nazywali też bandami.

Chodziłem w półmroku po celi. Beton, małe dwa okienka obite blachą oddaloną od okienka około 30 cm z otworami o średnicy 1 cm. Tylko przez te otwory dochodzą promienie lipcowego słońca, ale tylko wtedy, gdy zbliża się zachód. Przemierzałem cele – 5 kroków w jedną stronę i z powrotem. To jedyne zajęcie i rozrywka. Z domu otrzymać niczego nie wolno – ani ubrania, bielizny, ani żywności. Każdy siedział w tym w czym został aresztowany. Miałem na sobie tylko garnitur, jedwabną koszulę, krótkie slipki, chusteczki do nosa, skarpety i pantofle z oderwaną w czasie ucieczki podeszwą. Książek ani gazet nie otrzymywali. Żadnych ołówków ani papieru nie wolno było mieć.

Spytałem, jak długo siedzą? Jeden mówi, że już 7 miesięcy, inny – 4 jeszcze inni – 3 miesiące. Przerazała mnie najbardziej bezczynność i groźba znęcania się. Znajomy zaczął mnie pouczać, że jak na śledztwie to powinienem uważać na to czy uderzają w głowę z dwóch stron rękami ułożonymi w ten sposób, aby jak najwięcej wtłoczyć w uszy powietrza. Mogą zrobić z człowieka kalekę na całe życie – można ogłuchnąć. Uszy długo po tym ropieją. Jak zachodzą z tyłu lub podchodzą z przodu, trzeba chować głowę w ramiona. Sąsiad chodzący obok nas mówi, że jak go trzasnęli w uszy to trzy dni nie słyszał, miał szum w głowie i bolały go bardzo uszy. Zgłaszał się do lekarza, ale powiedziano mu, że do takich głupstw lekarz się nie fatyguje. Po ponawianych próbach otrzymał trochę waty, żeby sobie wkładał do uszu jak mu ropieją. Pytam, czy lekarz jest osiagalny w razie potrzeby? "Jest dla uboli, ale nie dla nas." Najdłużej siedzący mówi, że lekarz raz był, chodził po celach. Był i u nas. Jedli kaszę z wodą na obiad. Wszedł, nie zdążyli wstać, bo każdy miał miske między kolanami. Powiedział, że nie muszą wstawać. Był w randze kapitana. Popatrzył, zajrzał w miske jednemu i mówi: Kaszka na obiad, dobrze kraszona". Wtedy aresztowany wstał, zbliżył się z miską do kapitana i powiedział: "Niech się pan doktor przyjrzy czy kraszona". Woda z kasza była upstrzona czarnymi mysimi bobkami. Spojrzał, lekko się zarumienił, nic nie powiedział i chciał wyjść. Wtedy drugi więzień powiedział, że ma prośbę. Doktor spytał – jaką? – "Zeby nam pozwalali przysyłać z domu cebule lub dawali nam tu. Poza chlebem gorzka kawa i woda z kasza niczego nam nie dają. Zeby się nam ruszają". Zapisał i bez słowa wyszedł. I na tym zakończyła się pomoc lekarska.

"Może jak ktoś jest umierający to go stąd zabiorą" – wtóruje Stefan, młody szczupły blondyn, posadzony o przynależność do nielegalnej organizacji założonej na terenie gimnazjum. Rolnik podejmuje temat i opowiada, że był tu taki stary, z siedemdziesiąt lat – to mu nawet leki dali, ale nie do celi. Strażnik miał u siebie. Dziadek, jak przychodził czas zażycia, stukał w drzwi. Raz tak stukał, ale klucznik nie chciał mu otworzyć. Dziadek nie dawał za wygraną, tylko stukał w żelazne drzwi. Przyszedł profos i tak go wałnął pięścią w głowę, że dziadek byłby się przewrócił, gdyby go z tyłu nie złapano. Lekarstwa nie dostał. "A skąd dziadek wiedział, o której godzinie musi przyjmować lek,

jak wiedział bez zegarka, że pora nadchodzi?" "Posiedzisz, to i ty się nauczysz obliczać czas co do 10-15 minut - po zmianach kluczników, karmieniu psów (przez dziurki w blasze widać klatki). Po słońcu też można obliczać która godzina, jak pada na płot. Po zabieraniu na górę. Po brzęku kotłów. Po zmianach warty - przez dziurkę widać jak chodzą. I po wielu nasłuchach. A jak się posiedzi to i na wyczuć określa się godziny". Słuchałem uważnie, ale jeszcze nie mogłem pojąć. W tym momencie usłyszałem dźwięk uderzeń w żelazo. Jest ósma. Wszyscy stoją, a jeden z uchem przy drzwiach nasłuchuje i przekazuje. Przyszli po kogoś. Uboł rozmawia z klucznikiem, idzie w naszą stronę. Wszyscy zamarli. Mineli naszą celę. Otwierają 7-ke i biorą kogoś na górę. Widzę ulgę na twarzach moich współlokatorów. Przekonałem się wkrótce, że takie chwile paraliżują człowieka. Powraca normalna atmosfera. Jeden siedzi ze zwieszoną głową, drugi drzemie siedząc, trzeci stoi przy ścianie i prostuje plecy, inny gimnastykuje się, pozostali chodzą. Cały czas nasłuchują, czy coś się nie dzieje. Ktoś od czasu do czasu wtrąci jakieś słowo lub nawiązuje się krótka rozmowa.

Znowu walenie w kraty wejściowe i ponowna cisza. Słysząc kroki klucznika w kierunku kraty wyjściowej. Szczek kluczy i znowu kroki w naszą stronę. Klucz wchodzi w zamek. Z tyłu słyszę głos: "Chyba po tego nowego". Otwierają się drzwi i słyszę swoje nazwisko i "Wychodź". Głosy z tyłu: "Trzymaj się". Skulony wychodzę. Za mną idzie klucznik w wojskowym mundurze i cywil. Nakazano mi zatrzymać się przy wyjściowych kratkach. Klucznik otworzył kratę. Znaleźliśmy się między trzema kratkami. Przez jedną wychodziło się na górę, druga prowadziła do aresztu komendy milicji, gdzie siedzieli kryminaliści, a trzecia zamykała oddział Urzędu Bezpieczeństwa, w którym siedzieli więźniowie polityczni i "inni poważni przestępcy", jak ich nazywano. Na pierwszym piętrze mówią: "W lewo" i wtedy uprzytomniłem sobie, że na I piętrze jest MO, a najbardziej biją na IV piętrze i w piwnicach bez okien. Gdy uświadomiłem sobie, że nie idę na IV piętro, odżyłem i zaraz przypomniało mi się, że mam zbierać niedopałki papierosów. Idąc wzdłuż korytarza spostrzegłem leżącego peta. Szybko schyliłem się i podniosłem. Prowadzący nie zareagował - to ja dalsze dwa podniosłem, ciesząc się, że będę miał z czym wrócić do celi.

Wprowadzono mnie do przedostatniego pokoju. Kazano usiąść i ukryty w cieniu cywil zrobił mi trzy zdjęcia z przodu i z boków. Po czym przeprowadzono mnie do następnego pokoju, gdzie zdjęto odciski palców. Po tych czynnościach sprowadzono mnie do aresztu. Udało mi się jeszcze parę niedopałków chwycić. Zdażyłem nawet porozrywać je, a bibułki wyrzucić.

Dumny ze zdobyczy schodzę po schodach w dół, za mną milczący i nie reagujący cywil. Gdy znaleźliśmy się na dole, czekał na nas inny, który zwrócił się do mnie: "Gdzie się skurwysynie szwendasz, a ja muszę na ciebie czekać". Tak jakbym urządzał sobie spacer. Zabrał z powrotem do góry. Idąc po schodach zobaczyłem czastkę niedopalonego papierosa. Chciałem schylić się, ale w tym momencie poczułem kopniaka. "Kto ci pozwolił ty bandyto zbierać niedopałki?" Spadły na moją głowę razy. Zaprowadził mnie na III piętro i stanąłem w pokoju, gdzie czekało na mnie trzech. "Jak stoisz, ty piżdziaku!" Nie wiedziałem o co chodzi. Zaczęto mnie bić i kopać po piszczelach. I znowu: "Jak stoisz, ty sukinsynu! Jeszcze cie nie nauczyli jak się stoi? Twarzą do ściany!" Szybko odwróciłem

sie. Stojąc patrze w ściane, aż tu z tyłu slysze głos: "Odmierz trzy stopy od ściany". Nie wiedzialem jak to zrobic, wiec znowu uczono mnie kufakami po glowie i szyi. Wreszcie stanalem okolo 50 cm od ściany. Po chwili podszedl oprawca trzymajac gazete i rozlozyl na ścianie rozkazujac zalozyć rece do tyłu, a nosem przytrzymywac gazete. Z duzym wysilkiem utrzymywalem pozycje pozwalajaca nosem przyciskac gazete do ściany. Aż tu gwałtowne uderzenie po plecach, tak bolesne, że poruszylem sie i gazeta spadla na podloge. "ty sukinsynu, jak sie zachowujesz? Gazete socjalistyczna poniewierasz po podlodze!". I posypaly sie kopniaki i okladanie pleciami po twarzy i glowie. "Trzymaj jeszcze raz, ale jak upuszczysz to cie tu szlag trafi!". Ponownie trzymalem "Trybune Ludu" i po chwili posypaly sie na moje plecy ciosy wymierzone noga od krzesla. Znowu spadla gazeta i znowu wymierzono mi sprawiedliwosc za uwlaczanie prasie socjalistycznej. Poturbowany, posiniaczony stalem nosem przy ścianie, chwilowo szczesliwy, że mnie nie bija, ale pozycja w jakiej stalem zaczela dokuczac. Nogi w kolanach naprezone, nos boli - nie wytrzymywalem bolu. Probowalem przekrecic glowe, aby koscia policzkowa lub czolem pomagac sobie w przyciskaniu gazety. Ale oprawcy, gdy tylko to zauwazyli, zaczynali krzyczec: "Czego leb przekrzywasz? Stój prosto, jak nie umiesz, to cie nauczymy". Trudno bylo utrzymac pochylosc nog nosem podpierajac ściane. Stalem zbolaly i przewijaly sie przez moja glowe myśli o zemście i odwecie z jednoczesna refleksja wskazan Kosciola. Przypomniała mi sie rozmowa z ukrywajacym sie, który walczył w AK i WiN, a przeciwko któremu uknuto prowokacje, zeby go zabic. Zdołal uciec. W czasie rozmowy wyciagnal visa i mówi: "policz te kreski". Licze wyzlobienia - wryte bylo 24. "Tylu sukinsynow zafatwillem od 1944 roku. Ja ich znam, cała moja rodzine wywiezli zza Buga na Sybir i wymordowali. Azjacki bandytyzm jest jeszcze gorszy od niemieckiego. Tylko strzelac tych czerwonych". Rozmowa ta przypomniála mi sie w czasie torturowania. Zdawalo mi sie, że ja za tych 24 dzisiaj place cene. Tych co gineli w więzieniach i tajgach Sybiru przeciez nie bylo w 1939 roku, ani w 1944 i 1945 roku. Nie byly to przemyslenia, ale chaos, chec odwetu mieszala sie z uczuciem chrześcijańskiej miłości. W tym wszystkim dominowalo jedno pragnienie - uciekac. Albo zabija, albo sie uda, ale nie beda sie juz znecac.

Nie wiem, jak dlugo tak stalem, ale w koncu upadlem. Zaczeto mnie wtedy bic. Jeden mial gumowa palke, a dwaj pozostali nogi od krzesel. Krzyczeli: "Wstawaj sukinsynu!" Z trudem wstalem i sam nie wiedzialem co sie ze mna dzieje. Nogi w kolanach naprezone i cale w drgawkach. Stojac na baczność przesuwalem sie po pokoju. Wibracja nog byla tak silna, że po prostu jezdziellem w różne strony. Sledczy staneli i nie wiedzieli co sie ze mna dzieje. A ja nie umialem sie odpredzyc, tylko taki zeszytnialy i cały drżacy jezdziellem po pokoju. Był to dla mnie przedziwny rodzaj ulgi, a oni nie wiedzieli, co ze mna poczac. Jeden spytal - co mi sie stalo. Odpowiedzialem, że nie wiem i dalej przesuwalem sie po pokoju bez zadnego wysilku, jakbym był mechanicznie wprowadzony w drgania. Kazano mi usiac na krzesle, nawet je podstawili. Siedzialem spokojnie, tylko kolana drgaly, ale przynosilo to ulge. "No, przestań udawac - powiedzial barczysty szatyn - i gadaj: nazwa organizacji, nazwiska czlonkow, pseudonimy, broń, tylko szybko". "Ja nic nie wiem". W tym czasie wszedl czwarty o twarzy zpira w wieku okolo 40 lat i pyta: "Co tu robicie?" Oni na to, że ten

sukinsyn nie chce mówić. "Po co się z takim męczycie? Najlepiej robili nasi przyjaciele – pod ściankę i w łeb. Nie ma co marnować tyle czasu. Dlaczego on siedzi na krześle? Nosem do ściany niech stoi". "Niech odpocznie zaraz postoi". Po krótkiej wymianie zdań szeptem, dwóch odeszło a ja pozostałem z dwoma, którzy przekrzykując się nawzajem perrorowali "Ty niedługo to nie tylko będziesz mówił, ale śpiewał". Nie odpowiadałem. W pewnym momencie przerwali wyzwiska i jeden drugiego spytał o godzinę. "Już czwarta. To weź go narazie i sprowadź, ja polecę". Pożegnali się, a ja z trudem się podniosłem wyszedłem na korytarz z trudem powłóczę nogami. Zeszliśmy na parter i dalej do piwnicy. Przyszedł klucznik, zrewidował mnie i wpuścił do celi. Pierwsze pytanie: "Pety są?", a drugi: "Cicho, bo usłyszysz". Odpowiedziałem, że mam parę za koszulą i trochę tytoniu w kieszeniach. "Dobrze, że nie było szakala, bo ten to każe wyciągać kieszenie na wierzch i wszystko wytrząsnąć. Wyciągnąłem zza koszuli tylko dwa niedopałki, a napewno było ich więcej. Wyciągnęli gazetę, kazali mi stanąć i odpinać spodnie i ostrożnie zdejmować, żeby się nic nie wysypało wysypało na na marne. Istotnie, jeszcze jeden niedopałek wyleciał na gazetę. Potem kieszenie od spodni wyrócili i wytrząsnęli tytoń. To samo zrobili z marynarką. "No, mały, aleś się postarał. Będzie na dwa skrety". Jak oddawali spodnie, dostrzegli siniaki na nogach. Wtedy i koszule kazali mi zdjąć. Zwilżali mi ciało zimną wodą, zforzeczyli ubowcom współczując mi, a ja byłem szczęśliwy, że znalazłem się wśród swoich. Wywiązała się następnie dyskusja: czy zaraz zapalić skreta, czy po kolacji. Zdania były podzielone. Jedni chcieli zaraz zapalić pierwszego, a drugiego zostawić na niedzielę. Inni chcieli zapalić zaraz, a drugiego po kolacji. Ustalono wreszcie, że po kolacji zapalimy, a drugi skret będzie na niedzielę, ponieważ w niedzielę chyba nikt nie będzie wzywany na przesłuchanie.

Leżąc na deskach na brzuchu opowiedziałem szczegółowo o przesłuchaniu i o tych dziwnych drgawkach. "Ty masz cenną chorobę, możesz się bronić. Jak cię będą lali, to zaraz wywin numer i przestana. Na nich nie ma innej rady" – perroruje mój znajomy – "więcej udawaj, że jesteś słaby i chory, albo pieprzniety – to czasem pomaga. Siedział w naszej celi taki facet. Bili go tak nieprzytomnie, że po dłuższym śledztwie był obłakany. Siedział na krześle, świecili mu reflektorem w oczy i od czasu do czasu ręką uderzali po oczach. Mówił, że był taki ogłupiały, że nic nie widział, tylko jasne świetliki, choć oczy miał otwarte. Po pewnym czasie to dostał oczopłasu i cholernych bóli głowy. Gdy był taki otepiały i półślepy, ubole przyprowadzili jakiegoś starszego chłopca, który powiedział, że jest jego ojcem i prosił, żeby się przyznał, to on załatwi natychmiastowe wyjście. Jest przecież synem biedniaka, a władza dla takich jest łaskawa, tak mu powiedzieli w Warszawie. Głos był podobny do głosu ojca. Gość pekt. Przyznał się, że miał kontakty z WiN-em, że posiadał broń (powiedział nawet gdzie jest schowana). Jeszcze do tego sypnął kogoś, bo rzekomy ojciec podpowiedział, że tamten powiedział już wszystko i nawet go nie zamknęli. Na drugi dzień, jak się wydało, że to był podstęp, a on dał się podejść – zaczął udawać wariata. Od tego czasu klucznik sam nigdy nie otwierał drzwi jego celi. Towarzystwo mu zawsze dwóch. Przestali go przesłuchiwać i wywieźli do więzienia. Dla śledzących w areszcie UB szczytem marzeń było dostać się do więzienia!"

Raptem szczek kluczy i otworzyły się żelazne drzwi – kolacja. Dwóch wybiegło po kocioł, trzeci po miski. Klucznik wlewał wodę z kasza. Już drugi dzień niczego nie jadłem. Jeźdźce łyżką po misce – trochę drobnej kaszy i woda. Znalazłem kawałek parczanego sznurka, z worka chyba.

“Coś znalazł? – sznurek. A czego w tej kaszy nie ma. Brak tylko kawałka ziemniaka i tłuszczu. Poza tym możesz wszystko znaleźć, nawet w kawie, nie tylko w kaszy i chlebie – robaki, sznurki, guziki, kamyczki, bobki mysie.” To jak oni ludzi traktują? Zaczeli się śmiać – “Przecież byłeś na górze, to już wiesz.” Zamilkłem i wpatrywałem się w wodę z kaszą i mieszałem łyżką, czy jeszcze czegoś nie wyłowię. Po chwili zdecydowałem się zjeść choć trochę, bo byłem strasznie głodny. Kasza była bez soli, mdła, ale jadłem przez rozsadek i opróżniłem miskę. Po zjedzeniu nastrój się ożywił – zaczęto czynić przygotowania do palenia. Skarcono trzymającego kawałek gazety, że jest widoczny przez Judasza. Przez Judasza klucznicy i funkcjonariusze UB zaglądali do celi sprawdzając co się w niej dzieje – czy czasem ktoś nie śpi, czy leży. Głośno otwarta klapka i oficjalne zaglądanie przez wizjer zobowiązywało aresztowanych do stawiania na baczność w sposób umożliwiający klucznikowi zobaczenie wszystkich.

W rogu na ścianie, w której były drzwi skrecono w gazecie papierosa i schowano pod deske w rogu pryczy. “Teraz siadać i wyciągać nitki.” Czekałem niecierpliwie na sposób robienia ognia – bo przecież zapalek nie mieliśmy. Patrząc, siadają w rogu i wyciągają nitki skąd się da – z koszuli, spodni, marynarek. Ja też, z dołu spodni, ze środka wyciągnąłem parę nitek. Łącznie zbierało się sporo. Złączone stanowiły pstry plaster o szerokości 2–3 cm i długości 5 cm. Następną czynnością było zrywanie rdzy ze stojącego w rogu kibla. Zebrana rdza wsypano na nitki i zwinięto tak, by powstał mały kawałek o średnicy 1 cm. Teraz czekamy na kiblowanie i na apel, a potem kurzymy. Istotnie, w krótkim czasie drzwi się otworzyły – właśnie w czasie dyskusji, czy skreta i zawinięta rdza zabrać ze sobą, czy gdzieś ukryć. Często, kiedy zamykają w ubikacji, robią “kipisz” w celach. Podnoszą deski do góry i szukają, czy się czegoś nie schowało. Szukają zwłaszcza wieczorem, bo rano pilnują, żeby się każdy zamoczył.

Rdze schował ktoś do kieszeni, a skret schowano. “Wychodzić” – krzyczy klucznik. Dwóch schwyciło kibel, trzeci miski i wyszliśmy wszyscy do ubikacji – łazienki. Tam nas zamknęto. Po 5 minutach drzwi się otworzyły i krzyczą – “Wychodzić”. Kiedy znaleźliśmy się w celi i zatrzasnęły się drzwi, szybko sprawdzono, czy jest skret. Napewno jest za krótko na kipisz. Istotnie leżał. Wszyscy zadowoleni czekamy na apel i uroczyste palenie. Trawi mnie ciekawość – jak się z nitek i rdzy robi ogień? Pozostali prawia sobie grzeczności, uśmiechy, nawet przyjacielskie poklepywania – że sobota to najwspanialszy dzień, aż chce się żyć. Nie mogłem pojąć przyczyny, ale wkrótce sam się przekonałem, że wizja niedzieli bez śledztwa i bicia to istna frajda dla aresztowanych.

Nie upłynęło pół godziny ja usłyszeliśmy otwieranie drzwi. Ktoś krzyczy: “Apel!” Szczek klucza w drzwiach postawił wszystkich na baczność. Chwycono mnie za reke i ustawiono mnie w szeregu. Drzwi otworzyły się klucznik popatrzył w tekturkę. Gdy szczeknęły trzecie drzwi za naszą celą, najbardziej doświadczony przystąpił do robienia ognia. Wziął but i zaczął nim wcierać rdzę w nitki, do momentu, aż wałeczek stał się twardy. Następnie począł poruszać butem w obydwie strony z dużą

szybkością. Trwało to około pół minuty. Po czym powąchał i zmartwił się, że nie czuje dymu. Z boku ściszony głos doradza, żeby wziąć deskę i deską wałkować. Powtórzono operację z butem i nagle dał się poczuć swąd palącego materiału. Rozerwano zwinięty knot i poczęto dmuchać. Ujrzałem żarzący się ogień. Mój znajomy stał już ze skretem wielkości średniego palca w ustach, gotowy do palenia. "Dmuchaaj, dmuchaaj - jeszcze słaby ogień". "Nie bój się, zapali się". Przyłożono palący się knot do skreta. Radość zapanowała, gdy wreszcie buchnął dym. Wszyscy stali tworząc kółko. Skret przechodził z ust do ust. Ja również skorzystałem, pociągnąłem i zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Miły zawrót głowy. Tak przeżywałem to rozkoszne odurzenie, że dopiero druga kolejka obudziła mnie z tego błędnego stanu. Młody człowiek zwrócił nam uwagę, żeby nie tak mocno i długo wciągać dym, to starczy na jeszcze jedno sztachnięcie. Pozostały, centymetrowej długości niedopałek dopalił fachowo najstarszy w celi. Po chwili pozostał mu na wardze ledwo widoczny kawałek gazety. Nastrój stał się wesoły. Zaczęły sypać się wspomnienia i dowcipy. Pochwalono mnie za umiejętność zdobywania niedopałków i stwierdzono, że nie zgine w więzieniu, bo umiem sobie radzić.

"Jakby tak można było popalić trzy razy dziennie, to ja moge siedzieć - odezwał się głos z pryczy. Na ostatek lepsze żarcie i sienniki z kocami ..." wturóje siedzący obok.

W tym momencie stuk w drzwi i głos klucznika: "Cicho ma być, już po apelu". Zapanowała cisza i zaczęli się rozbierać ci, widoczni przez wizjer. Lipiec, godzina 18-ta - trzeba leżeć na deskach. Obolałe od bicia ciało nie dokuczało w czasie chodzenia i interesującej rozmowy. Natomiast leżenie na spodniach rozłożonych na deskach, z pantoflami pod głową, sprawiało mi ból fizyczny i psychiczny. Czulem osamotnienie i powiew więziennej pustki. Myślałem o znajomych, i o wyspie i jakie zatoczyła kregi. Przytłaczało mnie to. Mimo 18 lat, które zaledwie ukończyłem, już wiele widziałem i przeżyłem. O śmierć też się oclerałem tak w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu, ale więzienie to nowy rozdział w moim aktywnym życiu, które rozpocząłem prawie pięć lat temu. Usiłowałem nawiązać rozmowę, ale nie znalazłem chętnego rozmówcy, natomiast zwrócono mi uwagę, że bym nie rozmawiał, bo klucznik chodzi i podsłuchuje. Przewracałem się z boku na bok, aż zmarznięty, z gołymi nogami, zasnąłem. Rano stuk do drzwi i krzyk klucznika: "Pobudka!" Obudziłem się z bólem głowy, szyi i pleców. Stanałem na pryczy i włożyłem spodnie, marynarkę i buty i zacząłem chodzić po celi w półmroku. W ciągu pięciu minut wszyscy byli ubrani. Wkrótce drzwi się otworzyły: "Wychodzić!" W ubikacji - faziencie klucznik pilnował, aby wszyscy umyli się do pasa. Wytarłem się chusteczką, włożyłem na mokre jeszcze ciało koszulę i wróciłem do celi w towarzystwie moich współlokatorów. Nastrój był pogodny, bo w niedzielę nie brali na przesłuchanie. Odczuwałem głód. Po dwóch godzinach otrzymaliśmy do miski gorzką kawę i pajdke gliniastego chleba. Zjadłem chleb, kawę wypilem i czekamy na obiad. I tak w koło, panie bracie. Czas do obiadu przechodziłem w kółko. Jak mnie nogi zaboląły, to siadałem na deskach, po czym znowu chodziłem. Pozostali również nie rozmawiali tylko ze spuszczoneymi głowami siedzieli na pryczach lub chodzili. Na obiad, bardzo już głodny, zjadłem kaszę z wodą i dalej, nadal głodny, czekałem na kolację.

Ale po obiedzie czekało zapalenie skreta - co zabrało łącznie z przygotowaniem, około godziny. Była znowu zabawa i radość i tak zeszło do kolacji. Po kolacji dalej głodny. Widmo desek w nocy odbierało

mi humor. Poniedziałek niepokoił. Ciekawość – co się będzie działo dalej, zmniejszała lęk. Przed snem odbyłem jeszcze uzupełniającą prasówkę – odpowiadałem na pytania, co się dzieje w Korei, jak przebiega front (bo Amerykanie wycofali się ku południowi), jak ludzie żyją, czy panuje psychoza wojenna i co mówi Zachód o sytuacji światowej. Przy bardziej szczegółowych pytaniach rumieniłem się. Tylko pobieżnie czytałem gazety i na wiele pytań nie umiałem odpowiedzieć. O sytuacji w kraju wypytywano mnie od pierwszych minut pobytu w celi, a ciekawość sytuacji na wolności była zawsze nienasycona. Każdy nowy witany był z nadzieją, że przyniesie ciekawe wiadomości.

Wieczorem nowe zarządzenie: "Wynosić buty na korytarz". Albo sukinsyny uważają, że nam za wygodnie spać z butami pod głową, albo chcą utrudnić chodzenie po apelu, bo przecież po mokrym betonie chodzić bez butów nie sposób. Już po godzinie 18-tej położyliśmy się na pryczach. Słoneczko wdzierające się dziurami w blasze okiennej mówiło nam o ładnej lipcowej pogodzie. W celach panował zawsze półmrok, a w dzień pochmurny było zupełnie ciemno. Zimno i wilgotno było zawsze, zwłaszcza w nocy. Nasza dziewiątka stanowiła zgodny zespół, prawie rodzinny. Jeżeli zwracano uwagę, to zawsze w życzliwym tonie. Po krótkiej wymianie zdań następowała cisza i każdy pozostawał ze swoimi troskami, marzeniami, i przeżyciami.

Oczekiwano z niepokojem poniedziałku. Przekrecałem się z boku na bok. Wreszcie ułożyłem się na wznak, bo leżenie bez butów na boku było nie do wytrzymania. Nie wiadomo było, jak ułożyć głowę, która boleśnie zwisała, co powodowało dretwienie rąk. Tylko pozycja na plecach dawała nadzieję przetrwania nocy.

Rano, o godzinie 4-tej pobudka i dalsze czynności, analogicznie jak co dzień. O godzinie siódmej z minutami wszyscy byli gotowi do pójścia na przesłuchanie. Każdy szmer na korytarzu, kroki lub szeceł kluczy paraliżował lub zatrzymywał w miejscu, tam gdzie kto stał. Jeden nasłuchiwał przy drzwiach, z której celi biora. Ta nerwowość, połączona z ciekawością zabierała godziny. O godzinie dziewiątej naliczyliśmy że już pięciu poszło na górę. Poniedziałek to pracowity dzień. Uwaga, znowu stuk w kraty, cicho. Jeszcze beda brali. Słychać kroki w naszą stronę, otwierają się drzwi i pada moje nazwisko. Wychodzę już na zapas skulony, szyja schowana w ramionach – aby do uszu nie mieli wygodnego dostępu. Przyszedł po mnie niski mężczyzna – czarne wfosy na jeża, nogi w pałak wygięte, przepity, brudny, mina groźnego rzezimieszka.

Idę na górę i wyteżam wzrok, żeby dojrzeć peta. Leży na schodach. Chwyciłem. Poczujęm kopniaka w tydke. "Rzuć to bandyto!" Rzuciłem i kulejąc z trudem wchodziłem już na trzecie piętro. "Wyżej" – rozkazał. Pociągając nogą wszedłem na czwarte piętro. Wprowadził mnie do pokoju gdzie był inny śledczy – wysoki blondyn, barczysty. Powiedział: "Stawaj w rogu twarzą do ściany". Rozkaz wykonałem. Chwila rozmowy między nimi rozprężyła mnie, bo toczyła się na tematy prywatne. Po chwili blondyn pyta o nazwisko, imię i pseudonim. "Nie wiem" – odpowiadam. Z tyłu posypały się uderzenia w szyję, szturchańce po plecach. Zaskaniałem głowę rękami, co wzbudzało jeszcze większą agresję i mocniejsze razy. Przewróciłem się. Kopali mnie i krzyczeli: "Wstawaj!" W czasie tego "swoistego" przesłuchania weszła do pokoju kobieta. Niski brunet powiedział, że wróci za 15 minut, a blondyn zaczął rozmawiać

z niewiasta językiem zalotno - wulgarnym. Ona tylko odpowiadała: "No, no, Leszku". Po chwili "Leszek" zwrócił się do mnie: "Co tak stoisz beczynnio, odwróć się, weź krzesło za nogi i trzymaj". Niewiasta, szczupła średniego wzrostu blondynka, blada - stała obojętna, nawet nie spojrzała na mnie, gdy "Leszek" uczył mnie trzymać krzesło wysoko. Trzymałem krzesło i patrzyłem na wzajemne umizgi, obmacywanie się i umawianie na spędzenie wspólnej nocy. Ona nie protestowała, jak jej obmacywał piersi i klepał po pośladkach. Wpatrzona w niego mówiła: "No, no, Leszku". Kazał mi się odwrócić. Korzystałem z intymnej rozmowy i opuszczałem dretwiejące rece. "Wyżej ty sukinsynu!" Ostatekiem sił trzymałem krzesło trzesącymi się rękami. Nie wiedziałem, co uczynić. Trzymać krzesła dłużej nie mogłem, a jeżeli zrobię cokolwiek innego, otrzymam razy. Oni, nie krepując się moją obecnością, obciskiwali się, umawiając się na najbliższą noc. Nie mogąc dłużej wytrzymać, opuszczałem krzesło ku dołowi, aż delikatnie oparłem je o podłogę. Zajęci sobą nie zwracali na mnie uwagi, a ja byłem też szczęśliwy. Po chwili spostrzegł śledczy moją pozycję. Zerwał się i uderzył mnie w uszy z dwóch stron jednocześnie dłońmi ułożonymi w kształcie tyłek. Tak zwykle uderzali - aby w uszy więcej powietrza wtłoczyć. Nie zachowałem ostrożności - usłyszałem dzwonienie w uszach, ale bólu nie czułem. Mówiłem, że nie mogą już utrzymać krzesła, ale głosu swego nie słyszałem. Popisywał się przy "damie" bijąc mnie, a ona w ogóle nie zwracała na to uwagi, patrząc w okno. Wyczuwałem, że byłem winien temu, że nie mogą dalej wymieniać uścisków. W czasie zadawania mi tych popisowych ciosów wszedł czarny. Podbiegł, stanął naprzeciwko mnie - żeby zaciśnięte, oczy obfodne, szczęki latające. Zaczął uderzać mnie otwartymi dłońmi po twarzy, oczach, nosie i czole. Robił to w sposób fachowy. Był to rodzaj bicia służący raczej zastraszeniu, wytraceniu z równowagi, wywołaniu przerażenia, niż znecaniu się. Wysoki, barczysty blondyn stał z boku i uderzał bokiem dłoni w tył szyi, powtarzając "Mów sukinsynu, bo będzie po tobie". Jak usiłowałem powiedzieć, że nic nie wiem - nasilały się uderzenia.

W pewnym momencie dostałem z przodu silny cios w brzuch i jednocześnie z tyłu uderzenie w szyję. Ciosy były tak mocne, że upadłem zwinięty w kłębek. Wrzaski i kopniaki, abym się podnosił, nie pomagały. Zwinięty, ze schowaną głową w ramionach i zasłonięty rękami, czułem się najbardziej bezpieczny. "Wstawaj i mów, bo cie tu szlag trafi". Nie odpowiadałem. Podeszli, wzięli mnie za kołnierz marynarki i podnieśli gwałtownie. Stanałem oparty o ścianę, skurczony - bo wyprostować się nie mogłem. Bałem się bardzo. "Damy" już w pokoju nie było. Nie zauważyłem kiedy wyszła. "Jak się zmoczyłeś, to teraz odpoczniesz. Siadaj na krzesle". Wziąłem podane mi krzesło i usiłowałem usiąść. Wtem rozległ się ryk: "Ty jeszcze nie wiesz, jak się siada na krzesło? Ile siedzisz?" Odpowiadam: "Cztery dni". "To jeszcze cie nie nauczyli". Ustawili krzesło nogami do góry w ten sposób, żeby oparcie było zaklinowane w rogu pokoju, a nogi sterczały ku górze. "Siadaj na nodze". Usiadłem przerzucając ciężar częściowo na nogi. "Jak siedzisz, wyciąg nogi do przodu, rece na kolana". Poczułem silne uwieranie nogi krzesła. Usiłowałem zmieniać pozycję, ale nie miałem możliwości manewru. Na dole, w celi, mówili o siedzeniu na kółku ale to przecież krzesło. Oprawcy rozmawiali o prywatnych swoich sprawach, a ja potwornie cierpiałem. Siedziałem tak chyba ze trzydzieści minut i noga od krzesła wbijała mi się w kość ogonową tak, że

z bólu nie wytrzymałem i po prostu przewróciłem się na bok. "Leszek" podszedł i zaczął krzyczeć: "Wstawaj i siadaj. Coś taki delikatny. Pieć minut siedzi i mówi, że go boli. Pieć dni będziesz siedział, aż ci noga w gardło wejdzie, ty bandyto. Wrogów klasowych wytepiamy do ostatka, rozumiesz? Wstawaj i siadaj!" "Ja nie mogę panowie, zastrzelcie, ale nie znecajcie się". Prawie siła ponownie mnie posadzono, a jak nie chciałem nóg wyciągnąć, kopneli mnie powyżej pięt. Znowu się przewróciłem. "Widzisz, jaki szczerwany, chce nas wykołować. Wstawaj". Jęczałem, że wstać nie mogę i leżałem dalej. "Zobaczysz, jak on szybko wstanie". Podszedł do szafy i wyciągnął jakąś maszynę z ręczną korbą. Postawił na biurku i druty zawinał mi na rece. Po czym zaczął krecić korbką. Mnie jakby ktoś głowę od środka rozsadał. Cały się trzasłem, a on krecił, wytwarzając elektrowstrząsy. W celi pobieżnie mówili mi o tych metodach, ale dopiero teraz przypomniałem sobie o tym. Nie mogąc tego znieść, w szoku, szarpnąłem i wyrwałem się z drutów, kalecząc przeguby rąk. Za taką niesubordynację i niszczenie mienia państwowego otrzymałem zapłatę, ale powtórzyć wstrząsów nie pozwoliłem. Przy biciu umiałem się zaciąć, ale perwersyjne metody dla mnie zawsze trudniejsze do zniesienia. Oprawcy byli wytrawni w swoim zawodzie. Umieeli przechodzić od metody do metody tak, aby nie wykończyć od razu fizycznie, ale skutecznie męczyć. Przy moim oporze należało mnie tylko zatłuc. Innego sposobu nie było, aby mnie zmusić do zakreślenia rąk drutami. "Ty się rzucasz. U nas nikt jeszcze nie podskoczył. Dawaj kajdanki". Zakuli mi rece do przodu. Myślałem, że z obawy, że będę dalej się rzucał. Nie protestowałem. Mogą być kajdanki, ale nie wstrząsy. Po założeniu kajdanek założyli mi rece za głowę i stałem tak, a łańcuch kajdanek wbijał się w szyję. Przez pierwsze parę minut sprawiało mi to nawet ulgę, bo mogłem spokojnie stać, ale wkrótce poczułem ból rąk wzniesionych w górę. Rece dretwiały, w przegubach uciskały żelazne zaciskacze i potęgował się ból szyi. Zacząłem pod naciskiem kajdanek opuszczać głowę. Zobaczyli i zaczęli krzyczeć: "Leb do góry! Co ty sobie myślisz, jak ty stoisz, kto cie tak stać nauczył? U nas stoi się prosto. Już ci się leb zgina pod ciężarem socjalizmu. Jeszcze na kolanach będziesz chodził. Wtedy będzie w Polsce Ludowej dobrze. My na takich jak ty mamy sposoby. Twarda reka klasy robotniczej zniszczy wrogów ludu wszelkiej maszy, w mieście i na wsi. Wiesz co powiedział towarzysz Lenin? - że wszystkich wrogów socjalizmu należy przepuścić przez nasze robociarskie pięści i potrzymać przez parę lat w więzieniu, to wtedy dopiero można będzie zbudować socjalizm." Czułem na sobie pięści, ale nie były to pięści robotnicze, ani chłopskie. Ludzie siedzący w celach piwnicznych - ci są robotnikami i chłopami. Autentycznymi. Oprawcy nosili znamie obcej narodzi na polskim ciele. Reprezentowali kulturę i język nie spotykany na ulicy, wśród społeczeństwa. Nowa fala okrucieństwa zaczęła wchodzić w życie umęczonemu wojną narodowi. Mniejszość zaczęła rozprawiać się ze społeczeństwem pod osłoną obcych czołgów. Nowy świat, nowe życie, nowa sprawiedliwość, socjalizm, komunizm - to ciągle powtarzane przez oprawców frazesy, jakby chcieli oni dodać sobie odwagi i usprawiedliwić swoje czyny.

Stałem zgłębiony z bólu i w pewnym momencie zdecydowałem się upaść na podłogę, choć mogłem jeszcze stać. Przewróciłem się, nie hamując rękami upadku. Przestuchujący zaczęli krzyczeć, żebym przestał udawać, że oni się na tym znają, że ich jeszcze popamiętam, jak nie powiem tego, o czym oni świetnie wiedzą. Nie pozwoliłem na ponowne założenie rąk za szyję, choć otrzymałem za to

potężne lanie. Stałem bezradny wobec przemocy, ale bunt wewnętrzny i pogardę zachowałem. Byliśmy wzajemnie wobec siebie bezradni – ja nie mogłem się bronić przed biciem i znęcaniem, oni nie mogli mnie zmusić do "śpiewania", jak mówili. W pewnym momencie pozostawiono mnie w spokoju. Stałem twarzą do ściany, a oni cicho rozmawiali. Wkrótce blondyn wyszedł, a zjawił się zupełnie nowy. Jak wszedł robiłem właśnie przysiady, a czarnuch krzychał: "To ty nie wiesz jak się przysiady robi? Nie wolno odrywać pięt od podłogi!" Początkowo przysiady mnie nie męczyły, choć skopane nogi bolały, ale od chwili jak mi zabroniono odrywać piety, stało się to bardzo męczące. Zrobiłem już 50 przysiadów, a miałem wykonać 100. Liczyłem głośno, bo tak nakazano. Kiedy skończyłem i powiedziałem, że jest już 100, ryknął na mnie, że kłamie, bo zrobiłem tylko 93 i za karę kazał zrobić następne 100. Usiłowałem się bronić, ale to doprowadzało go do wściekłości. Zacząłem wykonywać drugą setkę i wtedy nowo przybyły powiedział do czarnucha: "Czego się męczysz z takim owakim. Powieś na koziołku, wpleprz parę pał w piety i zacznij śpiewać. A jak tego nie wystarczy, to wody do nosa – albo się udusi i będziesz miał spokój, albo zacznij śpiewać". Wykonując przysiady liczyłem półgłosem i słuchałem. Przysiady wydawały mi się fraszka wobec zapowiedzianego koziołka, o którym już słyszałem. Byłem cały mokry, a drżące nogi odmawiały posłuszeństwa. Kiedy zobaczyli, że robie przysiady bardziej tułowiem, niż nogami, rzucili się na mnie z pięściami krzycząc, że ich oszukuje, że jestem sukinsynem, bandyta. Sam już nie wiedziałem, kim to ja nie byłem, Zażądano w końcu, bym robił przysiady wypracowaną metodą w śledztwach. Już trzecią setkę zacząłem wykonywać i pot lał się po czole. Po pewnym czasie marynarka pod pachami przemokła na wylot, a mokre plamy poszerzały się. Drganie nóg wprowadziło w vibracje całe ciało. Kiedy spostrzegłem, że nie mogę już utrzymać równowagi, wyprostowałem się i stojąc sztywno drgałem od nóg po głowę. Zaczeli częstować mnie szturchańcami, a ja przechyliłem się na ścianę, która uchroniła mnie przed upadkiem. Po dotkliwych razach usiadłem w rogu przepełniony buntem aż do desperacji. Ten dziwny wytworzony stan, pozwalał mi wiele znieść. Uważałem, że ostatnie słowo i decyzja należą do mnie i mogę je odkładać na dowolną chwilę. Młodość dostarcza wiele romantyzmu bez możliwości na realizację, ale właśnie to pozwalało mi przetrwać trudne do zniesienia cierpienia. Siedząc w rogu przypominałem sobie o swoich współlokatorach – wszystko im opowiem w szczegółach. Chciałbym jeszcze zdobyć dla nich pety. Oni przecież na nie czekają. Pomyślałem, że jak będą mnie sprowadzać, to może uda się coś zdobyć. Na biurku stała pełna popielnica niedopałków. Dostać się do nich nie sposób. Słyszałem, że czasem przesłuchiwanym prosi się o pety, ale wtedy śledczy pytają, czy w zamian będzie się mówić. W wypadku potwierdzenia – czasem dostać można nawet papierosa. Opowiadano mi i przestrzegano, że raz taki przesłuchiwany otrzymał papierosa, nawet mu go przypalono, ale nie zdażył wypalić połowy, jak go śledczy strzelił w usta, prosto w zapalonego papierosa. Poparzył mu twarz i wargi.

"Wstawaj!" – usłyszałem groźny głos. Niemrawo podniosłem się opierając rekami o ścianę. "Odwróć się!" – stanąłem twarzą do ściany. "Będziesz mówił?" "Będzie to co wiem" – odpowiedziałem "Mów to co my chcemy, bo inaczej to żywy stąd nie wyjdiesz" Nie interesowały mnie ich słowa. Całą uwagę skupiłem na niedopałkach. Kombinowałem, jak je zdobyć i zanieść kolegom. Już chyba z 7 – 8 godzin zabawiano się ze mną i przypuszczałem, że w końcu sprowadzą mnie na dół, tym bardziej, że już nie bardzo

nadawałem się do dalszego dreczenia, bo i z sił opadłem i popadłem w apatie. Już mniej myślałem o śmierci jako o ucieczce przed katuszami, bardziej zdecydowany byłem na wywianie, jak w żargonie więziennym nazywają ucieczkę. Ze swojego rogu patrzyłem w okno i przymierzałem własne możliwości do zamierzeń. Gdyby to było I piętro, a nie IV, można by ryzykować – albo by się udało, albo by zabili, ale nie znechaliby się.

Ktoś gwałtownie wpadł do pokoju, krzyknął: "Akcja!" Na moich oprawców podziałało to piorunująco. Jeden z nich chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć. Jak tylko mogłem najszybciej powłóczyłem nogą. Zeszliśmy schodami w dół, aż do piwnic. Przy kratkach stali już z kluczami. Odebrał mnie profos, zrewidował, ale wytrząsać z kieszeni nie kazał. Niestety tym razem niczego nie miałem. Wchodząc do celi stanąłem we drzwiach. "Co tak stoisz? Siadaj, tu nie ubole." Ktoś podszedł i wziął mnie za ramię i powiedział: "To skurwysyny. zobaczcie, nawet marynarkę ma mokrą. Co, koziołek był?" "Nie, przysiadły, ponad 300". "E, to niewiele. Jest nadzieja, że po takiej zaprawie następnym razem 500 zrobisz. Był tutaj taki, co się bicia bał, to aż 600 zrobił."

Nie czekając na pytania powiedziałem, że niedopałków nie przyniosłem i w szczegółach opowiedziałem o śledztwie, a na zakończenie o tym, że rozpoczęła się jakaś akcja. "A tak, słychać było, że biegli jeden za drugim, a później było słychać motory. Coś się stało. Zwykle po takiej akcji przywożą nowych, to się dowiemy. Tutaj centrala – wszystkie wiadomości i zdarzenia tu się koncentrują, łącznie z głównymi aktorami wydarzeń. Obiady nie jadłeś, bo już i po kolacji, jest chyba koło szóstej". Wtedy uprzytomniłem sobie, że zabawiali się ze mną blisko dziesięć godzin. A co by było, gdyby nie akcja? Jutro chyba wezmą na dokończenie. Siedziałem na pryczy szczęśliwy, że jestem na dole, ale jednocześnie niekał mnie lęk przed jutrzejszym dniem, "Co robić żeby tak nie katowali?" Usłyszałem odpowiedź – "Udawaj słabego, przewracaj się. Pobią i znudzi im się. Wiecznie bić nie będą".

Słychać otwierające się drzwi – już apel. Szybko zdjąłem pantofle i postawiłem przy drzwiach razem z innymi. Drzwi się otworzyły – staliśmy boso, w skarpetkach na betonie. "Panie szefie – odezwał się głos – ten mały nie jadł obiadu ani kolacji", – "To się jutro naje". Pomyślałem – do jutra spokój. Byłem tak wyczerpany, że szybko zdjąłem spodnie, położyłem się, przykryłem marynarką i zaśnąłem.

W nocy ktoś mnie szarpie – "Wstawaj, wstawaj!" Światło latarki wymierzone prosto w oczy, celi ciemno. "Zabieraj spodnie, marynarkę i na korytarz." Przynaglany wyszedłem – tam dwóch czekało. Wkładałem w biegu nogę do nogawki spodni i wtedy popchnięto mnie. Przewróciłem się. "Szybko sukinsynu, wstawaj! Które twoje buty?" Ledwo je znalazłem w półmroku i wtedy ujrzałem cywilów z automatami. Ciągłe przyspieszali jakby za chwilę miało się coś gwałtownego wydarzyć. Wyprowadzili mnie z podziemi na parter. Krzyczą: "W lewo!" Już trzy kraty były przygotowane do wyjścia.

(Bogumił Studziński walczył z komunizmem przez całe swe dorosłe życie. Więziony w latach stalinowskich, nigdy od tej walki nie odstepił i był zawsze na pierwszej linii: i w latach 60- tych i w ROPCIO i w "Solidarności", i w podziemiu po 13 grudnia 1981 roku. Zmarł przedwcześnie w wieku 56 lat 20 lipca 1987 roku. Na szczęście pozostawił spisane wspomnienia, których fragment drukujemy powyżej)

Marian Miszalski

ODPOWIEDŹ

(opowiadanie)

1. Wiadomość o tym, że uczeni z Massachusetts Institute of Technology odkryli istnienie Pana Boga podana została w Polskiej prasie reżimowej kilkuwierszową zaledwie notatką, zamieszczoną na ostatniej stronie stołecznej "Trybuny Ludu", między wiadomością o niedoborze pasty do zębów a informacją o obniżce cen lokomotyw.

Tytuł notatki ironizował:

Przez lunetę - czy pod mikroskopem?

ODKRYLI BOGA....

Z ironia tytułu współbrzmiała szydercza treść notatki:

"Jak podała agencja UPI, rzecznik prasowy Massachusetts Institute of Technology poinformował, że grupa uczonych pod kierunkiem profesora RONALDA CLARKA, zajmująca się teorią pola grawitacyjnego, dokonała odkrycia Boga. Więcej szczegółów nie podano. Ciekawi jesteśmy, czy przeprowadzono już pierwszą rozmowę z Bogiem..." - kończył depešowiec "Trybuny Ludu".

Już następnego dnia cenzorski zapis położył kres dalszym doniesieniom na ten temat. Nasze gazety wzięły wodę w usta, byliśmy więc zdani - jak zwykle, gdy na świecie dzieje się coś ważnego - na rozgłosie zagraniczne i skape przecieki z dostępnej nam w ograniczonym zakresie prasy zachodniej. Właśnie stamtąd dowiedzieliśmy się po pewnym czasie, że zespół uczonych profesora CLARKA odmówił dalszych informacji. "Newsweek" napisał, że "uczeni w Massachusetts milczą jakby porażeni swoim odkryciem".

2. Trzeba powiedzieć, że my tutaj, w Polsce, mniej byliśmy wstrząśnięci tą wiadomością, gdyż od dawna wierzyliśmy w Pana Boga i dziwił nas nie tyle fakt jego istnienia, co raczej sposób, w jaki objawił się amerykańskiemu uczonemu. Do tej pory bowiem - co tu dużo mówić - bardziej przyzwyczajeni byliśmy do cudownych widzeń, nagłych uzdrowień, do stygmatów i proroczych snów... Czy to możliwe - zastanawialiśmy się - aby Bóg objawił się człowiekowi w sposób oczywisty, że aż naukowo pewny, nie pozostawiając już cienia wątpliwości, ani kawałeczka miejsca na wiarę?....

3. Pamiętam poważną dyskusję, jaką odbyliśmy w kregu znajomych. Ja (literat) wraz z żoną (biolog) twierdziliśmy, że każda prawda - także naukowa - oparta jest w ostatecznej instancji na wierze, przynajmniej na wierze w prawdę, na wierze w istnienie prawdy naukowej w ogóle. A zatem, wywodziliśmy, wiara jest zawsze podstawa wszelkiej pewności możliwej do uzyskania i wyobrażenia, toteż odkrycie amerykańskich uczonych wcale nie unicestwia wiary w Boga zastępując ją naukową pewnością, ale przeciwnie, co najwyżej wiarę tę jedynie umacnia. Wiara jest pewniejsza od pewności naukowej, gdyż tylko dzięki wierze możliwa jest w ogóle jakakolwiek intelektualna oczywistość, w tym także oczywistość

podsuwana przez naukę.

Nasi znajomi, Artur (filozof) i jego żona Marta (fizyk) byli jednak zdania, że jeśli Bóg został udowodniony w sposób naukowo pewny, to nie ma już w co wierzyć, gdyż po prostu wie się o istnieniu Boga tak, jak wie się o istnieniu siły ciężkości, albo o tym, że po dniu następuje noc.

Zdaje się, że nie mogliśmy się porozumieć.

Moja żona podniosła, więc zasadnie, że przecież jeżeli poruszamy się li tylko w kregu wiedzy pozytywnej, przyjmować musimy swoisty agnitycyzm poznawczy: gdyż nie wiadomo, jaka dzisiejsza prawda naukowa jutro okaże się fałszem. "Być może jakieś jutrzejsze odkrycia radzieckich uczonych – dodała – obalą amerykański dowód, ale przecież wiara w Boga z tego powodu nie zniknie". Zakończyła swój wywód kategorycznym stwierdzeniem, że nauka możliwa jest do uprawiania tylko pod dwoma warunkami: ograniczonego zaufania do jej każdorazowych rozstrzygnięć oraz wiary w istnienie prawdy w ogóle.

- A coż to jest prawda? – zapytał filozof.

- Bóg – odparłem zdając sobie sprawę z literackości tego sformułowania, ale nie umiejąc sensownie odpowiedzieć inaczej: gdyż nie wszystko da się wyrazić w słowach i słowo pozostaje zawsze zbyt kuse dla prawdy.

Marta, żona filozofa, przypuściła na mnie atak, uderzając wspaniałością współczesnej techniki:

- Jak to! – zakrzyknęła – Kwestionujesz pewność, niezawodność techniki! Technika! Popatrzcie na technikę! W technice prawda! Czyż wątpicie w samolot, który lata? W komputer, który liczy?...

- Człowiek pierwotny – odrzekłem spokojnie – też ciskał już kamieniami, krzeszał ogień, nie wątpił ani w ogień, ani w łuk, ani w proce i to nie mając nawet pojęcia o kinetyce, składzie atmosfery... Wiedząc więcej zarazem i więcej nie wiemy, przez co per saldo jak gdyby stoimy w miejscu.

Nadal jednak nie wydawali się przekonani. Byli to ludzie nieco inaczej uformowani, niż my, i prawdę zawsze musieli kupować z drugiej ręki. Nie mieli dość odwagi i honoru, by aktem wiary w prawdę wziąć ją na swoją odpowiedzialność. Nie chcieli dostrzec, że wiara wyprzedza prawdę. Czy ze złej woli? Czy z obawy przed konsekwencjami własnej odpowiedzialności?

4. Zreszta, jak to bywa między nami, wschodnimi Słowianami – cośmy się jeszcze, jak powiada Miłosz, swej formy nie dopracowali (zgrabniejsze to sformułowanie, niż prawdziwsze!) – zanim osiągnęliśmy w tej dyskusji jakiś zadawajający obie strony kompromis – już upiliśmy się, gdyż dyskutując zawzięcie piliśmy najpierw czerwone wino do bażanta, potem rosyjski koniak bez kawy, a potem polską wódkę – ma się rozumieć zupełnie już bez kawy – wreszcie pożycziliśmy od sąsiadów bimber, który też wypiliśmy, a już nad ranem, już tylko ja z Arturem, już tylko literat z filozofem wypiliśmy jeszcze perfumy mojej żony z domieszką płynu borygo. Toteż nazajutrz nikt już nie pamiętał subtelnych wywodów, błyskotliwych parabol, fint i point. Pamiętaliśmy tylko, że nikt nie ustąpił z własnych pozycji. Powiedzieć można: cała dyskusja na nic.

W podobnej sytuacji ludzie Zachodu z pewnością wypracowaliby jednak jakiś twórczy kompromis,

jakoś bardziej upodobniłoby się do siebie... Przynajmniej udaliby grzecznie i taktownie, że nie zmarnowali czasu, że wzbogacili się wzajemnie i nawet - zrozumieli lepiej. My zaś - nic podobnego!

5. Nazajutrz w południe, pijąc na kaca piwo powiedziałem Arturowi, że jest głupi jak but i nie tylko nie rozumie spraw oczywistych, ale nie ma nawet dobrej woli dociekania. Krótko mówiąc powiedziałem mu, że jest wewnętrznie zakłamaný. "Masz komunistyczną mentalność" - dodałem ponuro. Oczywiście - obraził się. Wyszli od nas oboje nadęsani, i z pewnością już na schodach uragali nam od "zaściankowych klerykałów", albo wprost od "zapyziałej inteligencji" lub "parafianšczyzny". "Parafianšczyzna" była ulubionym słowem Artura i mógłbym założyć się, że tak właśnie nas określił. Toteż uprzedzając niejako ich zaoczne inwektywy odezwałem się do żony tonem kogoś, kto przypieczętował swój sukces:

- Zanim my z "zapyziałych parafianów" wyewoluujemy w światłych racjonalistów, a następnie w socjalistów, potem komunistów aż skończymy wśród bydląt - gdzie wówczas będą oni, już dziś niepoprawni racjonalisci? Mówie ci: kto konserwatywniejszy - ten postępowszy!

6. Upływały dni, tygodnie, miesiące.

Wydział Prasy, Radia i Telewizji Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej był jednak najwidoczniej zaniepokojony sytuacją na "odcinku" odkrycia amerykańskich uczonych. Jak to zdarza się bydlu przed burzą, tak Czerwoni wyczuwali policyjnym instynktem, że coś jednak jest na rzeczy, i że rzecz ta może już w niedalekiej przyszłości przysporzyć im wielu kłopotów. Nie mogli jednak uwierzyć, aby odkrycie Boga w sposób naukowo pewny było w ogóle możliwe. Zresztą - sam Bóg przekraczał wszelką możliwość pojmowania Czerwonego.

Na wszelki wypadek postanowili przystąpić do propagandowej ofensywy.

Zresztą bardzo możliwe, że decyzja o propagandowym kontrataku zapadła nie u nas, a w Sowietach, i może nawet nie na najwyższym szczeblu, ale ot, na stanowisku sekretarza do spraw propagandy albo kierownika wydziału dezinformacji KGB na kraje podbite?

7. Gdzieś tak od maja rozpoczęły się w socjalistycznej prasie - jak łagier dfugi i szeroki - jakieś niebywałe prześmiechy, drwiny i szyderstwa. Zadeło w wielkie trawy. Reżimowi żurnaliści, od dawna już cierpiący na chudość tematyczną i zmuszeni do przeżuwania wyświechtanych frazesów - teraz wyżywali się, zacheceni tajną propagandową dyrektywą: "Wiecej śmiechu w tym temacie, towarzysze!"

"Prawda", "Izwestia", "Literaturnaja Gazeta", "Trybuna Ludu", "Neues Deutschland", "Rude Pravo", "Nepszabadsag", "Scienteia" - prześcigały się teraz w kpinach i żartach na temat odkrycia amerykańskich uczonych, których przedłużające się milczenie pobudzało tylko czerwonych harcówników. I przypominali oni tych uczniów, co ośmieleni przedłużającą się nieobecnością nauczyciela w klasie, najpierw rzucają się papierowymi kulkami, potem strzelają z gumek, wreszcie pija atrament...

Nie wdając się w omówienia i streszczenia tej bazgraniny porzeczamy tylko na zacytowaniu niektórych tytułów prasowych:

"Złapali Boga za palec?" ("Trybuna Ludu"); "Nauka czy zabobony?" ("Prawda"); "Instrukcje z nieba dla Białego Domu..." ("Rude Pravo"); "Czy Watykan finansuje amerykańskich uczonych?" ("Scienteia")...

Trwał sezon ogon ogórkowy.

8. We wrześniu zespół z Massachusetts Institute of Technology zorganizował konferencję prasową. Podczas konferencji poinformowano dziennikarzy o metodzie, zastosowanej przez zespół profesora Clarka, dzięki której dokonali wspomnianego odkrycia.

Już po kilku dniach napływać zaczęły z całego świata opinie wybitnych uczonych na temat przedstawionej metody i jej wyniku. Okazało się, że zastosowana metoda eksperymentalno-teoretyczna była bez zarzutu, a uzyskane wyniki miały ten stopień naukowej pewności, którego w żaden sposób nie dało się zakwestionować!

Na Zachodzie zawrzało!

Miliony ludzi z całego cywilizowanego świata zaczęły domagać się, by wyniki uzyskane przez amerykańskich uczonych oraz metoda, jaką zastosowali zostały przedstawione opinii publicznej w wersji przystępnej, zrozumiałej dla przeciętnego śmiertelnika, dla większości ludzi ... Aby cała Ludzkość mogła ocenić tę metodę i pewność uzyskanego dzięki niej rezultatu.

Niestety!... To głęboko słuszne żądanie setek milionów ludzi z całego świata nie mogło być zaspokojone.

Powód był prosty: zastosowana przez uczonych z Massachusetts Institute of Technology metoda matematyczno-fizyczna była w swych założeniach i przyjętej konstrukcji metodologicznej znacznie trudniejsza do zrozumienia dla przeciętnego człowieka, niż ogólna i szczególna teoria względności razem wzięte. Większość specjalistów nawet, fachowców fizyki teoretycznej ledwo rozumiała sens skomplikowanych matematycznych wzorów i wysoce abstrakcyjnych, cybernetycznych pojęć, nowatorsko zastosowanych przez Amerykanów. Tylko kilkudziesięciu najwybitniejszych uczonych epoki rozumiało w pełni sposób odkrycia Pana Boga, a spośród nich zaledwie kilkunastu prawdziwych geniuszy mogło w dostatecznie szerokiej perspektywie naukowo-badawczej ocenić stopień pewności odkrycia profesora Clarka i jego zespołu. Tych kilkadziesiąt najwybitniejszych uczonych w całej rozciągłości uznało i potwierdziło wynik badawczy uzyskany w Massachusetts Institute of Technology.

Ale między możliwościami intelektualnej percepcji tych nielicznych naukowych sław - a zdolnościami umysłowymi większości przeciętnie inteligentnych ludzi rozwierała się ogromna przepaść... Miliony ludzi na świecie musiały więc przyjąć ten naukowy rezultat ... na wiarę!

Rzecz jasna - opinia publiczna dowiedziała się z grubsza o zastosowanej metodzie, jej pomysłach i założeniach w sposób przystępny, popularny, ułatwiony, dostosowany do ilorazu inteligencji w granicach 80-120 punktów. Ale żeby uchwycić istotny sens tej metody, wszelkie niuanse matematycznych

wzorów , przekształceń (w których tkwiła właśnie jej siła!) – na to nie wystarczał przeciętnie inteligentny umysł, a nawet umysł nieprzeciętny. Aby zrozumieć, w jaki sposób odkryto naukowo istnienie Pana Boga potrzebna była , niestety , genialność umysłu!

...Jednakże powaga naukowych autorytetów, potwierdzających naukową ważność odkrycia Amerykanów, przeważała. Za naukowymi autorytetami przyjęto powszechnie na wiarę:Bóg istnieje.

9. Ach, więc Bóg rzeczywiście istniał!...

10. Trudno, doprawdy, opisać, co działo się na świecie pamiętnej jesieni i zimy. Od Reykjavíku po Tasmanię, od Hong-Kongu po Berlin Zachodni rozlegały się modły błagalne! Codziennym, masowym zjawiskiem stały się konwersje: jednego dnia w Tokio ochrzciły się dwa miliony Japończyków. Budowano nowe kościoły. Tak bardzo zeświezczona jeszcze wczoraj Europa Zachodnia przypominała teraz wielką świątynię, msze i pielgrzymkę zarazem. Miłość bliźniego rozlała się szeroka fala po świecie i niemal codziennie zdarzały się przypadki, że milionerzy, udziałowcy wielkich koncernów i rekiny finansjery rozdawali swe majątki pośród ubogich, sami zaś przywdziewali szaty pokutne...

W Szwecji zniesiono zasiłki dla bezrobotnych, gdyż działalność charytatywna przybrała tak wielkie rozmiary, iż pomoc państwa stała się prawdziwą kroplą w morzu dobroczynności. Tu i tam powstawały wielkie bractwa żebracze, wielotysieczne organizacje jałmużników, którzy odwracali się od życia doczesnego chwalać Pana.

W Monachium rozpoczęto budowę największej na świecie katedry, z istic niemieckim monumentalizmem obliczonej na sto tysięcy wiernych. W Anglii z niebywałą dynamiką szerzyła się nowa, zmodyfikowana dewiza podupadającego imperium: "My home is my church". W Danii parlament uchwalił, że obywatele powinni zwracać się do siebie per "bracie" lub "siostrze"...

Co tu dużo mówić: widzieliśmy wielkie cuda!

Rzućmy zresztą tylko okiem na tytuły prasy zachodniej z tamtego okresu: "Król pończoch funduje nową katedrę w Blois" ("Le Figaro"); Dwadzieścia tysięcy londyńczyków ochrzciło się w Tamizie ("Daily News") ; "Masowe demonstracje w Melbourne:Chcemy więcej księży" ("Melbourne Journal"); "Hossa dla przedsiębiorstw budowlanych:Obiekty sakralne nakrecają koniunkturę" ("Financial Times"); "Rockefeller – pustelnikiem w Newadzie" ("New York Times")...

Watykan zachowywał powściągliwe milczenie. Rzecznik papieski poprzestał na ostrożnym oświadczeniu, zamieszczonym w "Osservatore Romano", iż "Kościół nie może powstrzymywać nikogo od poszukiwania swej własnej drogi do Boga".

11. W socjalistyczna, łagierna prasa jakby grom strzelił. I jak to zdarza się Czerwonym w podobnych sytuacjach – przestali nagle dostrzegać wszystko, co działo się wokół... Dosłownie z dnia na dzień skończyły się owe żarty i zapadło grobowe milczenie. Wkrótce jednak zwołano naradę "bratnich partii" w Bukareszcie. Rzecz dziwna: obok pierwszych sekretarzy wzięli w niej udział ...

ministrowie obrony i spraw wewnętrznych oraz nadzorujący te resorty najwyżsi funkcjonariusze nomenklatury. Nie zaproszono nawet delegacji partii eurokomunistycznych, gdyż, po prawdzie nie było kogo zapraszać...

W pierwszym dniu obrad uchwalono zgodnie potrojenie wydatków na policję jawną i tajną. Potem dopiero zaczęła się zasadnicza dyskusja między przedstawicielami dwóch ścierających się orientacji. Pierwsza z nich proponowała, aby wszelkimi dostępnymi środkami popierać szerzące się w wolnym świecie chrześcijaństwo. W ten sposób – dowodzili zwolennicy tej orientacji – osłabimy ducha walki zachodnich społeczeństw, morale ich sił zbrojnych, i tak już nadwyrezane dzięki finansowanym przez nas ruchom pacyfistycznym. "Miłuj bliźniego swego jak siebie samego" znakomicie uzupełni, pogłębi i rozszerzy lansowane przez nas dotąd na Zachodzie hasło "Lepiej być Czerwonym niż martwym". Orientacja ta sugerowała, by finansowane przez KGB międzynarodowe organizacje pacyfistyczne wystąpiły z nowymi, masowymi akcjami skoordynowanymi pod hasłami: "Chrześcijanin nie walczy nigdy o nic", "Miłuj nieprzyjaciół swoje", "Na przemoc odpowiadaj miłością".

Druga wszakże orientacja, jak gdyby bardziej przewidująca, ostrzegała, że szerzące się po świecie chrześcijaństwo nie wyrzeknie się zagrożonej godności człowieka wszędzie tam, gdzie zagrożenie takie występuje. Na krótką metę – dowodzili przedstawiciele drugiej orientacji narady bukaresztańskiej – możemy odnieść pewne sukcesy polityczne. Póki jednak Zachód ma nad nami przewagę technologiczną, zawsze będzie mógł upomnieć się o swych braci i siostry w naszym obozie. Poza tym – argumentowali – co to będzie, gdy ta chrześcijańska zaraza dotrze w końcu i do nas, przenikając zacznie szeregi naszych sił zbrojnych i naszej policji, zwłaszcza służb bezpieczeństwa? Czy uchronimy ich programowy ateizm od szerzącego się chrześcijaństwa? Czy uda się nam utrzymać naszą policję z dala od świata?

Przyjęto drugą uchwałę: podwojono budżet ofensywnego wywiadu wojskowego.

Zareagowawszy w ten jedynie śluszny, leninowski sposób na odkrycie Pana Boga, towarzysze rozjechali się, wydając wspólny komunikat. Brzmiał on następująco:

Wspólny komunikat sygnatariuszy narady bukaresztańskiej

"Miłujące pokój kraje socjalistyczne są zawsze otwarte na prawdę. Prawda znajduje się w centrum uwagi Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, pod której przewodnictwem naród radziecki wraz z bratnimi krajami socjalistycznymi buduje nowe, naukowo śluszne marksistowsko – leninowskie jutro postępowej ludzkości.

Najwyższe władze partyjno – państwowe krajów budujących socjalizm nie mogą pozostawać obojętne wobec prowokacji niektórych kół imperialistycznych na zachodzie, uzurpujących sobie rzekomo większą miłość Towarzysza Boga, niż miłujący pokój naród radziecki, z jego awangarda, leninowską partią robotników i chłopów. Naród Radziecki nigdy nie zapominał, że towarzysz Józef był ubogim, prostym cieślą, a towarzysz Piotr zwykłym rybakiem, i że obydwaj należeli do ciemzonej klasy proletariatu. Pamiętamy także, że towarzysz Chrystus był pierwszym czołowym teoretykiem i praktykiem teologii

wyzwolenia, który nie wahał się oddać życia za zniesienie ucisku klasowego.

Radzieccy uczeni – na polecenie Biura Politycznego KC PZPR – od dawna już pracują na rzecz nawiązania twórczego, przyjaznego i bezpośredniego dialogu z Towarzyszem Bogiem, chociaż ze zrozumiałych względów prace te otoczone były dotąd ścisłą tajemnicą. Na całym świecie przecież obowiązują w tej mierze zasady tajemnicy dyplomatycznej.

W odpowiedzi na wysiłki niektórych zachodnich rządów, aby przedstawić Towarzysza Boga jako ich wyłącznego sojusznika, uczestnicy narady bukaresztańskiej stwierdzają z całą mocą, że miłujące pokój kraje socjalistyczne nie pozwolą na aneksje Towarzysza Boga siłom światowego imperializmu i reakcji. Wiemy dobrze, że Towarzysz Bóg – o ile istnieje – jest z nami, jest po stronie narodu radzieckiego i jego siły przewodniej: Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Dlatego uczestnicy narady bukaresztańskiej wystosowali w tych dniach list do Towarzysza Boga, w którym proponują Mu honorowe przewodnictwo w Biurze Politycznym KC PZPR. Z odpowiedzi Towarzysza Boga na naszą propozycję zapoznamy międzynarodową opinię publiczną, gdy tylko nadejdzie.

12. Jednocześnie do odpowiednich komórek KGB popłynęła jasna, ostra dyrektywa: "Ścisłe tajne. Baczność! Ustalić miejsce przebywania Boga".

13. Czas jednak mijał, a odpowiedź Pana Boga na list Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego nie nadchodziła. Podjęto, jak się zdaje próby sfabrykowania takiej odpowiedzi, ale opinia światowa *nie dawała wiary*, gdyż uczeni radzieccy nie chcieli ujawnić, w jaki sposób Pan Bóg odpowiedział na radziecką propozycję, ani jaką metodą nawiązali z Nim łączność... Na próżno przewodniczący Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Związku Radzieckiego, akademik Kołmogorow, zaklinał się przed kamerami telewizyjnymi, że osobiście rozmawiał z Towarzyszem Bogiem; Kołmogorow znany był z wcześniejszych prześladowań sowieckich dysydentów i nikt na świecie nie mógł jakoś *uwierzyć*, że Pan Bóg rozmawiał akurat z Kołmogorowem. Nie pomagało nawet słowo honoru radzieckiego uczonego. Toteż Pan Bóg objawiał się jeszcze kolejno: pewnej kołchoźnicy w Witebsku...pewnemu popowi w Tomsku... pewnej traktorzystce pod Mińskiem ... Ale za każdym razem opinia światowa *nie dawała wiary*: kołchoźnica nie umiała nawet przeżegnać się przed kamerą gdy prosił ją o to później zachodni dziennikarze, pop okazał się notorycznym pijakiem a traktorzystka spod Mińska w ogóle nie istniała...

14. Pierwszy raport, dostarczony przez KGB na posiedzenie Biura Politycznego, stwierdzał lapidarnie: "Bóg jest wszędzie".

Towarzysze Politbiura poculi się niepewnie... Słyszając głosy i rozglądając się trwożliwie uzgodnili, że jest to nazbyt ogólne ustalenie, by podjąć jakiegokolwiek działania celem aresztowania Boga. Wyznaczono szefowi KGB dodatkowy termin. Jednocześnie nakazano dokonać przeglądu

wszystkich pomieszczeń partyjno-administracyjnych: zalecano ich "wietrzenie z ducha". Na samym Kremlu zainstalowano niezwykle kosztowną aparaturę, jonizującą i oczyszczającą powietrze... Ostroymi środkami chemicznymi zdezynfekowano salę posiedzeń Biura Politycznego... Rosła atmosfera nieufności.

15. Kolejny raport KGB stwierdzał: "Bóg jest wszędzie. Zamieszkuje także w sercu każdego człowieka".

16. Pierwsza ofiara czystki padł sam szef KGB, który własnorecznie podpisał ów raport. Gdyż jedynie słuszne, nieubłagane dialektyczne rozumowanie członków Biura Politycznego pobiegło następującym torem: "Jeśli tak nie jest - oszukał nas. Jeśli jednak podpisał to - musi być przekonany, że tak jest. Jeśli zaś tak jest - to Bóg mieszka w jego sercu także".

Oczywiście, jeśli Bóg mieszkał w sercu szefa KGB - szef KGB był zdrajcą. Rozstrzelano go nazajutrz o świcie. Kolegialne kierownictwo nad KGB przejęło Biuro Polityczne. Prowadzona nadal aktywna działalność wywiadowcza przynosiła jednak ciągle ten sam, niezmienny wynik: "Bóg jest wszędzie, mieszka także w sercu każdego człowieka".

Wszyscy towarzysze spoglądali na siebie z rosnącą nieufnością. Nikt nie chciał mieć nic wspólnego z KGB nagminnie fałszowano raporty, chcąc uchronić własną skórę: raz Bóg miał zamieszkiwać w Jerozolimie, innym razem w Nowym Jorku, to znów na Madagaskarze, na dnie Rowu Mariańskiego, w galaktyce Alfa Centurion, w konstelacji Wolarza... W kosmicznych "czarnych dziurach"...

W aparacie bezpieczeństwa, w wojsku, w partii i administracji szerzyły się czystki, organizowano super i hiper służby kontrolne, nadzorcze... Wyższych funkcjonariuszy partyjno-państwowych zobowiązano do udawadniania, że nie noszą Boga w sercu... Wielu poddawano przymusowym operacjom aby załżrec im w serce!

Wszystko to, rzecz jasna, powodowało ogromny chaos w rządzeniu...

17. Tymczasem Amerykanie wysłali załogowy pojazd kosmiczny na Wenus i zainstalowali w Kosmosie system obrony strategicznej. Japończycy, pldniejsi niż zwykle po tym, jak rząd zakazał przerywania ciąży jako zbrodni, wybudowali na Pacyfiku siedem nowych wysp, na milion mieszkańców każda. Anglicy rozpoczęli szeroko zakrojoną działalność misyjną w krajach trzeciego świata, krzewiąc kult pracy wśród leniwych mas. Nawet Francuzi przestali tak częst składać swe dobrze rozwinięte usta ku pożywieniu i rozmowie, składając częściej wargi do modlitwy.

Odpowiedź Pana Boga na list Komitetu Centralnego PZPR nie nadchodziła. Pogłębiał się natomiast chaos wśród sowieckiej władzy. I - wbrew przewidywaniom uczonych plitologów, iz Związek Sowiecki rozpadnie się od dołu i od środka - imperium zaczęło rozpadać się od góry... Wierzchołek piramidy chwiał się, kolebał wstrząsany coraz to nowymi wstrząsami - aż pewnego dnia runał jak stary, spróchniały wychodek, grzebiąc pod gruzami nomenklaturę.

W pogłosie huku i radosnej wrzawy, jaka zapanowała na świecie, zdało się nam, że usłyszeliśmy słowa: "Jam nie rychliwy, ale sprawiedliwy".

Niewykluczone jednak, że był to tylko podszept naszej niezniszczalnej wiary.

ANDRZEJ SZOMAŃSKI (1930 - 1987)

Są ludzie, często nam bardzo bliscy, których cenimy, a nawet i podziwiamy za ich wiedzę, aktywność, patriotyzm, nieugiętą postawę w działalności niepodległościowej i życzliwość jaką nas darzą. Jednak rzadko zastanawiamy się kim właściwie są dla nas, jakie miejsce zajmują w naszym życiu i jaką reprezentują osobowość, bo mimo uznania i szacunku właściwie niewiele o nich wiemy. Niewątpliwie najtrudniej oceniać ludzi skromnych, nie lubiących mówić o sobie, o swojej pracy, działalności, przeżyciach i osiągnięciach, ceniących sobie przede wszystkim rzetelną wiedzę i ludzkie serce.

Bywa tak, że śmierć nagle odcina od nas takich ludzi, którzy mocno niemal dotykalnie pozostają wśród nas. A nam nie sposób pogodzić się, że zabrakło Człowieka, który w życiu wielu osób: znajomych i przyjaciół zajmował wyjątkowe miejsce.

Takim zawsze był kolega i przyjaciel - Andrzej Feliks Szomański, dla tych, którzy Go znali i stykali się z nim w pracy dziennikarskiej i działalności niepodległościowej jak i tych wszystkich, których darzył przyjaznią i życzliwością. Andrzej należał bowiem do ludzi, którzy surowi dla siebie, nie żądają od innych zbyt wiele, albo nawet nic. Ale tym, którzy przełamują często uprzedzenia, poznali Jego głęboką osobowość, życzliwość, rozległą wiedzę a przede wszystkim głęboki patriotyzm i dawali mu dowody lojalności - pozostawał wiernym przyjacielem.

Ten wnuk i syn oficerów zawodowych wojska II Rzeczypospolitej, uczestników walk o niepodległość (dziadek - Tadeusz był pułkownikiem, lekarzem a ojciec - Zdzisław - majorem dyplomowanym, delegatem Generalnego Kwatermistrza Naczelnego Wodza w Dowództwie Armii "Poznań", uczestnikiem obrony Warszawy we Wrześniu 1939 roku), pozostał wierny ideałom i tradycjom rodzinnym. Żył więc głęboki szacunek i cześć dla żołnierzy powstań narodowych, uczestników walk o niepodległość, wojska II Rzeczypospolitej i Armii Krajowej. Szczególnie sobie cenił czyn bojowy Legionów Polskich, osobowość i zasługi ich komendanta Józefa Piłsudskiego, twórcy niepodległego państwa Polskiego. Fakt ten wynikał także z rzetelnej wiedzy historycznej i szacunku dla dziejów własnego narodu. Miał też on zasadniczy wpływ na postawę Andrzeja, na jego życiową drogę, na to, co robił i tworzył.

Życie swoje od wczesnych lat młodości związał z idea obrony niepodległości i wartości najwyższych dla narodu. Tak wielkiej sprawie służył wiernie nie uznając żadnych kompromisów i taktycznych uników. Andrzej żył bowiem z myślą o wolnej i niepodległej Polsce. Tym też marzeniom poświęcił się bez reszty.

Urodził się 6 czerwca 1930 roku w Warszawie gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej. Podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej ojciec Andrzeja przebywał w niemieckich obozach. Zginął tragicznie od bomby alianckiej 27 września 1944 roku w Oflagu VI B Dossel. Wychowywany przez matkę uczył się Andrzej na tajnych kompletach. W czerwcu 1944 roku wstąpił do tajnej organizacji Harcerstwo Polskie (kryptonim "Hufce Polskie"), skupiającej instruktorów, instruktorki i młodzież o nastawieniu narodowym. Podczas Powstania Warszawskiego 1944 r jako łącznik harcerskiej Poczty Polowej wspierał w walce żołnierzy Armii Krajowej na terenie Śródmieścia Południe. (Rejon IV). Ten okres służby Ojczyźnie przyniósł mu Krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska Polskiego. Po kapitulacji

Powstania znalazł się wraz z matką w obozie przejściowym w Pruszkowie skąd udał się do Zakopanego. Tam ukończył gimnazjum i liceum oraz wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego. W 1948 roku otrzymał świadectwo maturalne i powrócił do ukochanej Warszawy. Rozpoczął studia na wydziale polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Były to lata ciężkich doświadczeń dla całego narodu, który znalazł się pod narzuconą mu władzą komunistów i sowiecką dominacją. Andrzej nie pozostał bierny. Tym razem postanowił walczyć o wolną Polskę już nie z bronią w ręku ale słowem, piórem i zmysłem organizacyjnym. Walkę z obcą przemocą podjął w ruchu oporu wspierającym antykomunistyczne zbrojne podziemie. 11 października 1950 r. na trzecim roku studiów został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie 20 marca 1951 r. na mocy art.86 § 2 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego skazał Go na 7 lat więzienia i 3 lata pozbawienia praw politycznych. Przebywał w najcięższych więzieniach w PRL w Strzelcach Opolskich i Rawiczu. Był bez wątpienia jednym z najmłodszych więźniów bezpieki i władzy ludowej. W więzieniu poznał wielu zasłużonych działaczy politycznych i żołnierzy Podziemnego Państwa Polskiego: Delegatury na Kraj i Armii Krajowej. Na mocy amnestii z 1952 r. wyszedł na wolność 30 kwietnia 1955 r. Nie mógł jednak już podjąć brutalnie przerwanych studiów. Początkowo pracował w spółdzielczości pomagając samotnej matce. Wtedy też zadebiutował jako publicysta historyczny na łamach tygodnika "Dzisiaj i jutro". Od 1958 roku racował w tygodniku "Za i Przeciw" a od 1974 roku kierował działem historycznym tygodnika "Stolica". W latach 1975-1977 był kierownikiem działu historii najnowszej we Wrocławskim Tygodniku Katolików (WTK) oraz w "Kierunkach" po czym powrócił do "Stolicy".

Z chwilą powstania NSZZ "Solidarność" stał się aktywnym działaczem Związku, rzecznikiem jego idei. Tóż przed tragicznym dniem 13 grudnia 1981 r. postanowił przejść do nowopowstającego tygodnika "Solidarność Mazowska". Niestety tej pracy już nie podjął. Nastąpiły dni stanu wojennego, wojny władzy komunistycznej z narodem. Musiał więc ukrywać się, ale nie zaprzestał działalności organizacyjnej, nawiązywał zerwane kontakty, pisał do prasy podziemnej.

Publikacje Andrzeja Szomańskiego dotyczyły przede wszystkim powstań narodowych XIX wieku, wojska II Rzeczypospolitej, walk o niepodległość, Legionów Polskich, polskiej wojny obronnej 1939 r., Podziemnego Państwa Polskiego i Armii Krajowej oraz Powstania Warszawskiego. W artykułach swoich przypominał często mało znane wydarzenia z dziejów Polski XIX-XX wieku, ukazywał polakożerczą działalność zaborców, upamiętniał zasłużonych dla kraju polityków i żołnierzy. Był autorem dwóch książek: "Wichrom na przeciw" i "Walecznych tysięcy" związanych z powstaniami narodowymi 1830-31 i 1863-64. Nie unikał nigdy tematów trudnych cenzuralnie, nie zważał na koniunkturę i trwożliwą postawę naczelnych redaktorów. Wiedział dobrze, że z dziejów ojczyściych młode pokolenie Polaków powinno czerpać przykłady postaw i wzorców do działania. I dlatego też w ostatniej swej publikacji - słowie wstępnym do wydanej w 1987 roku przez Wydawnictwo Polskie KPN książki płk. Józefa Szostaka z KG AK - "Moja służby Niepodległej, Wspomnienia 1897 - 1939" napisał: "I historia, która rzadko kiedy przyznaje rację w sposób jednoznaczny, tym razem przyznała

ja i widzimy to coraz ostrzej, w miarę, jak lat coraz więcej upływa - Komendantowi i jego podkomendnym, którym dodawał sił wędrówki kres...".

Nie wszystkie publikacje Andrzeja mogły ukazywać się na łamach prasy reżimowej, ukazujące się oficjalnie. Od 1977 roku współpracował więc z pismami niezależnymi: "Opinia", "Droga", "Gazeta Polska". Był współorganizatorem Wydawnictwa Polskiego Konfederacji Polski Niepodległej a w latach 1978-1980 jego kierownikiem. W latach 1982-1985 redagował "Przyszłość Polski".

We wstępie do cytowanej już książki pfk.Szostaka pisał: "Niewiele żyje wśród nas ludzi, którym było dane podjąć w pamiętnym roku 1914 lub następnych latach Wielkiej Wojny uzbrojoną walkę o rzecz najcenniejszą dla Polaka: wolność i niepodległość Ojczyzny, ludzi którzy doznali później satysfakcji i dumy z jej odzyskania i walczyli o utrwalenie suwerenności młodej II Rzeczypospolitej a następnie wiernie służyli Jej przez czas międzywojenny, by podjąć ponownie walkę o te same wartości w latach 1939-1945."

Andrzej poszedł ich drogą. Stał w szeregu tych Polaków, którzy od 1945 roku nieustraszenie przeciwstawiają się obcej przemocy i bezprawiu z myślą o wolnej i niepodległej ojczyźnie. Prace zawodowa dziennikarska łączył więc z działalnością niepodległościową. W 1961 r. został uczestnikiem nurtu niepodległościowego (nn), w latach 1965-1976 jest członkiem a następnie szefem Kierownictwa Akcji Historycznej nurtu niepodległościowego, w latach 1974-1977 członkiem Konwentu, a od 1977r. uczestnikiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W 1979r należy do współzałożycieli i członków Rady Politycznej Konfederacji Polski Niepodległej, w latach 1982-1985 jest szefem Obszaru Centralnego KPN. Od 1980 aktywnie uczestniczy w działalności NSZZ "Solidarność", w 1981 r współorganizuje i przewodniczy Komitetowi Katyńskiemu, inicjując wiele publikacji ukazujących zbrodnię sowiecką dokonana na polskich oficerach. Wówczas to na cmentarzu wojskowym na Powązkach w Warszawie stanął pomnik ku czci ofiar tej zbrodni zlikwidowany przez władze bezpieczeństwa. Jest także członkiem Komitetu Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego oraz Komitetu Uczczenia Pamięci Gen."Grota"-Roweckiego i Żołnierzy Armii Krajowej.

9 marca 1985 roku podczas zebrania KPN w Warszawie zostaje wraz z Leszkiem Moczulskim, przewodniczącym KPN i innymi kolegami aresztowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Po raz drugi trafia do więzienia. Ciężkie warunki zgotowane więźniom politycznym 3 pawilonu więzienia mokotowskiego odbiły się na zdrowiu Andrzeja. Choruje, dolega mu nadciśnienie. Przez cały czas śledztwa, pobytu w więzieniu i przed sądem zachował godność i nieugiętość oskarżając system, władze, sąd, tych, którzy trzymają Polskę w niewoli. Skazany na 3,5 roku więzienia 18 sierpnia 1986 wychodzi na wolność. I znowu natychmiast przystępuje do działalności niepodległościowej. Kieruje Obszarem Centralnym KPN, organizuje słowo drukowane służące sprawie walki o niepodległość Polski, broniąc jej sensu. Píše także własne artykuły, redaguje książki historyczne.

Andrzej był głęboko związany z Kościołem. Można było Go spotkać na wszystkich kościelnych - patriotycznych uroczystościach - pamiętniających ważne historyczne rocznice: 3 maja, 12 maja, 1 sierpnia, 1 września, 11 listopada, podczas pielgrzymek na Jasną Górę. Niejednokrotnie po Mszy św. szedł w pierwszym szeregu tych, którzy przed Grobem Nieznanego Żołnierza na placu Józefa Piłsudskiego w Warszawie chcieli oddać cześć - uczestnikom walk o niepodległość, uczcić tam

pamięć zasłużonych Polaków pałki milicji i ZOMO zazwyczaj przerywały ten pochód. Brał także udział w licznych manifestacjach, zebraniach, spotkaniach niepodległościowych, wygłaszał prelekcje, odczyty. Uczestniczył również w działalności Duszpasterstwa Środowisk Twórczych.

Świadom bowiem był, że historia współczesna stawia przez Polakami wielkie wymagania a wiara i znajomość historii niezakłamanie pozwoli lepiej przetrwać najtrudniejsze wydarzenia. Przez całe niemal życie towarzyszył mu w życiu Krzyż - symbol jego przeżyć i trudu, symbol hańby i poniżenia, który stał się symbolem odwagi, męstwa i braterstwa. W znaku Krzyża ujmujemy dzisiaj to, co najbardziej piękne i wartościowe w człowieku. Przez Krzyż idzie się do Zmartwychwstania. I dlatego krzyże naszej Ojczyzny, krzyże nasze osobiste, naszych rodzin, także i Andrzeja muszą doprowadzić do zwycięstwa. - do wolnej i niepodległej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Taki był przecież testament Andrzeja, sens Jego życia zakończony tak nagle i bardzo niespodziewanie 19 października 1987 roku w Warszawie.

W tej intencji modliliśmy się 5 listopada 1987 roku w kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie przy Jego trumnie. Mszy św. przewodniczył ks. prałat Stefan Niedzielak, kapelan AK. Koncelebransami byli: o. paulin Eustachy Rakoczy, honorowy kapelan AK, ks. Stanisław Gadomski. W kościele licznie zgromadzili się Jego przyjaciele, koledzy, żołnierze wojska II Rzeczypospolitej i Armii Krajowej, działacze niepodległościowi i opozycji, członkowie Konfederacji Polski Niepodległej z całej Polski, której tak wiernie służył, członkowie NSZZ "Solidarność", dziennikarze, publicyści, przedstawiciele świata kultury i nauki, mieszkańcy Warszawy.

Przy trumnie stały poczty sztandarowe NSZZ "Solidarność" Huty Warszawa im. ks. Jerzego Popiełuszki, Służby Porządkowej przy kościele Stanisława Kostki na Żoliborzu. Warte honorową pełnili przedstawiciele KPN, przyjaciele, koledzy. Podczas Mszy św. homilię wygłosił ks. Niedzielak, który mówił o Andrzeju - Człowieku dobrze służącemu Ojczyźnie, obrońcy godności ludzkiej, wielkiemu patriocie. Modlitwom księży i wiernych towarzyszyły słowa pieśni religijnych i wojskowych w wykonaniu Jerzego Michotka.

Na cmentarzu wojskowym na Powązkach kondukt pogrzebowy prowadzili: ks. Wiesław Niewęglowski, krajowy Duszpasterz Środowisk Twórczych, o. Eustachy Rakoczy, ks. Wacław Karłowicz, kapelan AK, ks. Stanisław Gadomski.

Za trumną niesioną aleją główną cmentarza przez najbliższych przyjaciół, kolegów Andrzeja przy najbliższej rodzinie: żonie i dwóch synach szli wszyscy ci, którym był tak bardzo bliski, którzy Go tak bardzo cenili. Nad grobem pożegnali Andrzeja: przewodniczący KPN Leszek Moczulski, który przedstawił Jego działalność niepodległościową jako nieugiętego rzecznika walki o niepodległą Polskę, wybitnego członka KPN oraz ks. Stanisław Gadomski, przedstawiciel NSZZ "Solidarność" - Mazowsze - Seweryn Jaworski. Przemawiali również w imieniu żołnierzy AK - Wojciech Ziemiński, i w imieniu harcerzy z Szarych Szeregów i więźniów politycznych - Janusz Sporny.

Na grobie złożono wieńce i wiązanki kwiatów, zapalono znicze - symbol naszej wiecznej pamięci o Człowieku, który dobrze zasłużył się Ojczyźnie.

Mrok zapadał już, gdy na cmentarzu rozległy się słowa - "Jeszcze Polska nie zginęła..."

Warszawa godnie pożegnała Andrzeja Szomańskiego.

Andrzej Wiernic

KILKA UWAG O OPOZYCJI

Istnienie opozycji politycznej w Polsce, innej niż desygnowana przez Jaruzelskiego do pełnienia dyżuru, jest faktem w niedostatecznym stopniu odczuwanym przez społeczeństwa, a zwłaszcza przez władze. Żywotność opozycji polskiej w PRL (to niestety nie paradoks), państwie ograniczonej suwerenności jest słabo uchwytna przez przeciętnego Polaka wystającego po pół kilograma podgardlanki w smutnej kolejce trwającej parę dziesiątków lat, czy klienta PKP czekającego na swój pociąg gwarantowany opóźnieniem o każdej porze roku. Ważne, że role opozycji dostrzegają i cenia politycy państw wolnych. Podmiotem działań opozycji jest jednak ów kolejkowicz, jeden i drugi oraz dziewięćdziesiąt kilka procent innych, pozostających na fasce autokratycznej władzy, bez ochrony, mimo konstytucyjnych gwarancji wolności obywatelskich: prasy, wydawnictw, zgromadzeń itp. Żywsze zaznaczenie istnienia opozycji jest sprawa dużej wagi. Władza też nie ma co do tego wątpliwości, acz pod innym względem.

Opozycja jest w PRL faktem politycznym i społecznym, nieformalnym ponieważ wyraz prawny PRL-owskiego ustawodawstwa nie uwzględnia środków dopuszczających stronie myślącej kategoriami nie marksistowskimi wchodzenia na teren działań jednej partii, jednego przywódcy, jednego obozu od Kamczatki po Łabę. Nieprawność opozycji polskiej ma de facto charakter nielegalny, jak nielegalne jest ustanowienie działań prawnych sprzeciwiających się racji społecznej i interesowi publicznemu. W prawie PRL nie trudno, zwłaszcza po wojennych "regulacjach", o liczne tego przykłady. Dowodzenie prawności czy nieprawności władzy przybyłej do Polski w 1945 r., z obcym wojskiem i legalizującej się przed światem, a także zalegalizowanej dzięki politycznemu trickowi w Jafcie, nie jest przedmiotem tych rozważań, jakkolwiek ma kapitalne znaczenie prawne i polityczne.

Opozycja polska nie ma więc praw państwowych, ale z faktu reprezentowania poglądów większości społeczeństwa, różniących się od rządowych, posiada moralne i zwyczajowe prawa reprezentowania przynajmniej tego społeczeństwa, o którym wiadomo nawet z badań Centralnego Ośrodka Badania Opinii Społecznej, że nie podziela mniemań władz na istotne dla narodu i kraju sprawy.

Położenie opozycji politycznej w PRL i społeczeństwa przez nią reprezentowanego zależne jest od międzynarodowych układów politycznych i wyznaczone aktualną linią polityczną Kremla, ustalająca minimum albo maksimum tego, na co może sobie radziecki totalitaryzm pozwolić, nie narażając się na niebezpieczeństwo utraty kontroli nad uzależnionym państwem. Sytuacja w ZSRR wskazuje na jakieś nowe treści, może są one "tylko" moralnej natury, ale i wówczas sprzyjają nowym "jakościom" - jak nazywa je słownictwo polityczne obozu radzieckiego - już samo to winno uaktywniać roszczenia opozycji politycznej w państwach rządzonych przez komunistów. W Polsce i innych krajach radzieckiego bloku autorytet opozycji potwierdzają politycy Zachodu, przybywający tu na rozmowy, konsultujący poglądy na interesujące tematy z leaderami opozycji. Godzić się z tym faktem muszą rządcy tych państw, zdający sobie sprawę z moralnych uprawnień przedstawicieli narodu, nie odgrywający oficjalnej roli tylko dlatego, że zamknięto przed nimi wszystkie drzwi ze strachu przed ich społecznym prestiżem.

Uznanie współpartnerstwa opozycji w życiu politycznym kraju nie jest możliwe w systemie, w którym parlament jest ustanowiony przez władze zawłaszczająca państwo i społeczeństwo. Ale i

w takim państwie rząd bywa zmuszany do tolerowania opozycji. Sytuacja taka zdaje się zachodzić obecnie, niezależnie od tego, czy odwilż w ZSRR ma charakter poważny, czy jest manewrem taktycznym. Z tego wynikają dla koł opozycyjnych określone wnioski. Zachowanie społecznych opcji w działaniu opozycji czyni jej prerogatywy możliwymi do przyjęcia przez władze nawet totalitarnego państwa, jeśli zdołają utrzymać się w granicach ryzyka nieprawnego "prawa".

W innym wypadku zarówno opozycja staje się ruchem oporu wobec władzy, jak i władza siłą przeciw opozycji. Obserwujemy dziś zjawisko względnej bezwładności władzy wobec opozycji, co zachęca przynajmniej do próby przedstawienia czegoś więcej, niż wzajemną bezwładność własną.

Opozycja jest siłą opiniotwórczą, z którą bez entuzjazmu liczy się rząd, zmuszony tolerować fakt uznania jej reprezentatywności politycznej przez szerokie kręgi społeczeństwa oraz – może jeszcze bardziej – przez międzynarodową dyplomację zachodnią. Nie wyciągamy z tego faktu zawartej w nim ekspresji. Opozycje "obciąża" chyba powinowactwo duchowe z "Solidarnością", ruchem, którego treść wewnętrzna zawiera głównie postulaty ludzi pracy. W legalnym działaniu Związku nurt ten wystąpił szybko z brzegów, stając się dla władz całego obozu komunistycznego poważnym konkurentem. Jego likwidacja była więc sprawą przesadzoną. Próby restytuowania dziś "Solidarności" są zrozumiałe w kategoriach emocjonalnych, nie politycznych. Zawsze mieliśmy nadmiar działaczy przy chronicznym braku ludzi myślących politycznie. Nie ma zresztą takich ludzi również władza. "Solidarność", jak każdy wielki ruch społeczny, będzie jeszcze długo przejawiała utajone życie, ale odcięta od reanimacyjnej aparatury komisji zakładowych, coraz widoczniej popada w letarg. Może zdarzy się cud, którego w realiach politycznych spodziewać się trudno. Opozycja solidarnościowa pozostaje w krajobrazie dzisiejszej Polski nurtem płynącym leniwie, przynoszącym dobre samopoczucie psychiczne wartościowym jednostkom, które nie pogodzą się nigdy z przegraną, w sytuacji, kiedy i władza nie wygrała. Opozycja solidarnościowa odgrywa więc raczej historyczną niż polityczną rolę, ograniczając się do sfery protestów, czy przeciwstawiając swoje poglądy poglądom przeciwników. Czy jest siłą utajoną w masach do czasu, gdy potencjał ten, na skutek polityki "dyktatury ciemniaków" wybuchnie, stając się energią o nieprzewidywanym kierunku i skutkach?...

Postawa opozycyjna, sprowadzająca się do oświadczeń protestów, umniejsza wagę opozycji. Wątpię abysmy mogli przyjąć za punkt wyjścia współistnienie naszych i rządowych racji, zważywszy ich całkowitą przeciwstawność. Zyskując niewiele można stracić społeczne zaplecze, skłonne do szukania rozumnych kompromisów, ale nie za każdą cenę. Na razie brak nam zdecydowania, czy jesteśmy opozycją polityczną, czy gronem aktywnych działaczy, angażujących się w akcje niepowiązane programem alternatywnych propozycji dla rządowego szkodnictwa, zwanego polityką partii.

Istnienie opozycji politycznej w PRL jest faktem powszechnie znanym i uznanym (bardziej za granicą) i bierze się z kredytu nie tylko intelektualnego, ale z procentów od procesów politycznych, odsładek, represji czy dawnej działalności Związkowej. Istnienie (opozycji) to niewątpliwie wartość sama w sobie, ale wartość chwiejna. Obecnie przynajmniej, obok istnienia, wartością conajmniej równoważną jest istota opozycyjności, bowiem ona określa zakres realności jej działań. Sprawdzianem zaś tej realności jest sukces, niekoniecznie natychmiastowy.

Uznanie obecnego status quo, tzn. istniejącego stanu prawnego w jego ustawowym, wojowniczym wobec społeczeństwa kształcie jest niemożliwe. Przywrócenie status quo z okresu

przed powstaniem "Solidarności" jest dla nas również niemożliwe, powrócić do status quo ante bellum (13.12.81) jest niemożliwe tym razem dla rządu. Pozostaje prowadzenie prac zmuszających rząd do przyjęcia stanowiska uznającego prawa opozycji do odwoływania się przynajmniej do tego społeczeństwa, które czynniki oficjalne oceniają na 25% bojkotujących wybory do Sejmu czy referendum, jeśli nie liczyć innych danych, dostarczanych władzy przez COBOS z badań rozpowszechnianych przez środki przekazu.

Opozycja, na którą składa się szereg orientacji politycznych, z braku możliwości działania w partiach politycznych przedstawia dziś obraz w przekroju solidarnościowy lub postsolidarnościowy. Działacze związkowi to jednak nie działacze polityczni. Słusznie więc wyodrębniła się pewna grupa osób uprawiających politykę. Dla nich polem działalności jest ta część wspomnianego społeczeństwa, w imieniu którego ma moralne prawo, a także prawo zwyczajowe upominać się oraz poszukiwać rozwiązań politycznych, nie tylko teoretycznych. Status prawny Polaka (po lawinie wojskowych praw przypominających okupację) wyznacza przymus niezgodny z rzekomą normalizacją. Uzależnienie obywatela ustabilizowanego - wg Urbana - państwa od wojennych praw wymaga od opozycji działań w kierunku upodmiotowienia społeczeństwa, od tego zależy społeczny prestiż opozycji.

Znamy zespół cech trwałych, będących treścią niezgody z władzą, albo jak wolą inni, walki. Z tego faktu wynika konieczność uchwycenia elementu możliwości, z którego dopiero wypracować można potencję. Poszukiwanie okazji do zwarcia nie było przejawem mądrości działaczy o mentalności radykalnej, nie odbiegającej daleko od rewolucyjnych marksistów. Co z owego zespołu cech umiemy wyodrębnić, co dawałoby szansę powodzenia?

Opozycja bowiem spełnia swą rolę, gdy (w odczuciu społecznym) jest skuteczna. Mamy trudności w zaznaczeniu obecności w nurcie bieżącego życia społecznego, zadowalamy się problematyką rewindykacji z powodu skłonności do historyzujących uogólnień. Brakuje nam charakterystycznej dla opozycji szybkości reagowania, jakbyśmy zdecydowali oddać przeciwnikowi współczesność, pracując na rzecz przyszłości. Znaczyłoby to, że nie czujemy wyraźnego poparcia kręgów społecznych dla naszej polityki. A może nie mamy takiej polityki? W takim razie co jest napędem opozycyjnego działania? Przecież nie zdobycie władzy, która w obecnej konfiguracji pozostaje poza realnością, jakkolwiek dobry polityk nie rezygnuje z dalekosieźnych programów. Myślę o programie i kierunku działań uwzględniających reprezentację tych kręgów społecznych, których nie zdołała podporządkować sobie partia. Ważne dla takich programów jest stanowisko opozycji wobec zagadnienia nie występującego w opozycyjnych nurtach parlamentaryzmu zachodniego; czy mianowicie rząd, w końcu akceptowany przez ca. 50% społeczeństwa (może bez entuzjazmu), jest rządem polskim, czy nie? Jest więc przeciwnikiem racji społecznych, (które nie muszą być narodowymi) czy nim nie jest?

Może nie jest konieczne precyzowanie teorii społeczeństwa, które chcemy reprezentować, ani określanie koncepcji tego rozwoju, jakkolwiek wyjaśnienia absurdu stosunków społecznych opartych na czysto teoretycznej koncepcji "walki klas", "antagonistycznego społeczeństwa", "stosunków klasowych", opozycja rozumiana jest jako ubiegająca się o władzę. Wszystko to zostało już po wielokroć wyjaśnione - powie ktoś słusznie, jednak kontekst i charakter tego "wyjaśnienia" wymaga precyzacji stanowiska, bez retoryki towarzyszącej zwykle takim wysiłkom.

Szereg wypowiedzi oficjalnych ostatniego okresu, utrzymanych w bardziej realistycznym tonie,

może stanowić dla opozycji przedmiot śmielszych rozważań. Jest pytanie, co kryje ta "pojednawcza" retoryka? PRL-owska polityka, ani wewnętrzna, ani zagraniczna nigdy nie była suwerenna. "Deklarowanie" pewnych swobód przez obecne przywództwo radzieckie polskiej opozycji nie jest bezinteresowne, najbardziej krnąbrny obozowy poddany może oto podzyrować radziecka "odnowa". Cena za te przysługi jest niezbyt rozległa "demokracja", mająca z demokracją luźny związek. Orientacja Sowietów w sprawach polskich jest ogólnie słaba. Dowodzi tego "przegapienie" pierwszego okresu "Solidarności". Jednak interesy ZSRR dla obszaru narodowej Polski reprezentuje PZPR, jako agentura Suwerena. Polscy funkcjonariusze międzynarodowego komunizmu prowadzą ożywioną działalność, wychyloną na Zachód, ale i w kierunku sojusznicznych partii komunistycznych na Zachodzie, deklamują o prawach człowieka, o wolności. Związek Radziecki, po 70 latach budowania komunizmu terrorem, nie wyszedł poza parter; obecnie wyraźnie modyfikuje sposób budowania.

Głaskanie pod włos opozycji polskiej może być jemu w tym przydatne, np. "rosyjski generał w polskim mundurze" do tej roli się nie nadaje, ale Krawczuk, znawca Imperium Romanum - tak, gdy wesoło, a pojednawczo mruga nawet do wydawnictw "drugiego obiegu". Czy zarejestrowaliśmy to mruganie? Jeśli tak - gdzie reakcja? Każda reakcja jest lepsza od jej braku, brak oznacza kapitulację. Zale i rozdrażnienia zostawić trzeba do memoirow, jakie na starość spliszemy, także zdenerwowanie - polityka nie jest zajęciem dla uczuciowców. Nie od razu można dyskutować warunki rozejmu z dworem radzieckim. Dziś pożądana cecha temperamentu politycznego jest dynamizm, a my chcielibyśmy uznania dla naszego, niewatpliwego zresztą, autorytetu moralnego, w ramach którego rozlegle dywagujemy o perspektywach, rozwoju sytuacji itp. Lepsze to niż naiwne, bo nierealne pomysły z pogranicza fantazji.

A więc co robić? Czy tylko hamletyzować? Może uprzydatnić ten autorytet moralny? Czy ma to być tylko firma do podziwiania? Znajdujemy się w trudnej sytuacji. Społeczeństwu brak psychicznej gotowości do wysilenia woli; nie umie, czy też nie chce upominać się o należności, woli "święty spokój" i ma go, ale czy o to społeczeństwu chodziło? Upragniony spokój wykorzystują generałowie partii, wzięli odwet za półtora roku strachu. I choć jawią się społeczeństwu jako odnowiciele, lepiej ich nie drażnić, ani radzieckiego niedzwiedzia, chwilowo zabawnie tanczącego - myśli większość coraz głębiej upośledzonych. Opinia społeczna, jak ją widzę, popiera opcje wykorzystania jakichś znamion z rysującego się, według niej, sfożenia politycznego, niż pozostawiania w sferze godnego milczenia. Społeczeństwo jednak nie jest skłonne udzielić opozycji poparcia czynnego - co byłoby formułą wyjściową, ponieważ boi się utracić te resztki, które ocaliło, jest bowiem świadome penetrowania kultury, oświaty, szkolnictwa przez służby gotowe na wszystko dla ratowania radzieckiej racji stanu, nie mówiąc o stałej bytności ich agentów w życiu społecznym, a nawet prywatnym.

Czy zatem stan opinii publicznej wyklucza aktywność opozycji? Sądze, że przeciwnie. Ta sama opinia czeka na widoczny przejaw prac opozycji, nie idący jednak w kierunku masowych, widowiskowych akcji. Pytaniu - co można robić? - towarzyszy świadomość o radzieckości polityki PRL. Radziecka ojczyzna tutejszych władz określa skalę tego, na co się można porywać. Nawet prestiż PRL na światowym forum jest tylko podbudówka dla radzieckich korzyści, jest on zresztą ściśle przez partnera kontrolowany i nie może wykroczyć poza formułę "przyjaźni i współpracy".

Nie jesteśmy państwem suwerennym, sprzymierzonym z ZSRR, inny jest bowiem nasz pojałtański status. zatem ciągle winniśmy zajmować się dążeniem do odzyskiwania, centymetr po centymetrze, praw do samostanowienia. Kto wie, czy nie istniałby dla Gorbaczowa dylemat - alians z siłami postępu, w PRL i partnerstwo, zamiast upodłonego i zawsze niechętnego Związkowi Radzieckiemu, potencjalnego przeciwnika. Polityka uzurpowania sobie praw w podbitym państwie równa się przecież bezwłasności społeczeństwa. Blerne, beczynne społeczeństwo, które porzuci nadzieję, nie będzie dla rozsądnego polityka warte głębszych zainteresowań. Może uporczywe uświadamianie tej myśli prowadzi do sukcesu politycznego opozycji?

Cechą aktywnej opozycji jest stała gotowość do kompetentnej reakcji (tam, gdzie jest ona niezbędna, by artykułować prawdę), wybierając płaszczyznę społecznie uzasadnionego kompromisu trzeba też przedstawienia udokumentowanych racji, które kompromis czynią niemożliwym. Brak forum, gdzie określanie polityki niezależnej miałoby podstawy, utrudnia zajmowanie stanowiska miarodajnego, brak nam pisma reprezentującego opinie opozycji. Dotąd głosy opozycyjne, rozrzucone po wielu periodykach, potwierdzają istnienie wielu nurtów, które dla zawartości działań nie mają znaczenia. Wielosc stanowisk ideowych nie powinna utrudniać wypracowania jednolitego politycznie stanowiska jakiegos narodowego centrum. Utrudnia to bowiem wykorzystanie okazji do prowadzenia aktywnych działań odporowych. Jakby brak nam wyobraźni i umiejętności szybkiego reagowania, tracimy cenne okazje przejawienia życia, np. Krawczuk wyraża opinie o wydawnictwach nie świadcząca o znajomości "drugiego obiegu"; natychmiastowa riposta winno być podarowanie kilkunastu pozycji wydawniczych i podanie do wiadomości tego faktu; Urban wygłasza kontrowersyjny odczyt w Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Londynie - natychmiastowa reakcja winno być wygłoszenie koreferatu, choćby, starannie dobrani goście, pisemnie zaproszeni - nie wszyscy przybyli. Wybór miejsca jest sprawą prestizu opozycji i subtelności politycznych naszych partnerów (londyński Instytut, Ambasada Brytyjska, czy sala kościelna). Obezwładnianie oporu, jaki stawia sztywny przeciwnik, wymaga wyobraźni. Nie tyle środki co podział ról, dotąd praktycznie pływający, utrudnia zaistnienie celowych, programowanych działań. Nie mamy dynamiki niezbędnej do systematycznej działalności politycznej. Uzwiązkowanie prerogatyw politycznych wymaga ich uniwersalizowania, co może być tylko dziełem partii politycznej lub - jeśli to niemożliwe dla wyrażania wielu poglądów - organizacji, ruchu społecznego. Strukturalizacja konspiracyjnej, podziemnej magmy w ruch jest w warunkach państwa totalitarnego sprawą głębokiego namysłu. Formy organizacji opozycji w wyczuwalny przez społeczeństwo i władze organizm - również. Pewne jest jedno, przynajmniej dla mnie, że z tysięcy niezbarnych posunięć nie narodzi się wartościowa, skuteczna postawa działań, przeciwstawiająca totalizmowi komunistów siłę, która, choć uspiąca, przecież stanowi potencjalna moc. Zbyt mało, albo też nieumiejętnie szafujemy siłami. Może sami zakażeni jesteśmy bakcylem przystosowania do warunków ustrojowych, okoliczności, może usprawiedliwiamy się biernością społeczeństwa i jego skłonnością do wygodnego kompromisu. Tylko, że taka postawa nie prowadzi do pomysłnego rozwoju wydarzeń.

Ta ogólność i ogólnikowość głośnego myślenia dyskusyjnego, a więc powierzchowna i ograniczona, to tylko niepokój o coś, co być może musi przebiegać dziś tak, choć chciałoby się inaczej.

Czym więc są te moje uwagi? Myślnymi, czy uczuciowymi; co w tym racjonalnego, a co tylko emocja?

Bernard Crozier

AKCJA NARKOTYK

Autor niniejszego artykułu jest wieloletnim komentatorem "The Economist" i radio BBC oraz stałym współpracownikiem "National Review" w Nowym Jorku. Jest ekspertem stosunków miedzynarodowych i autorem biografii de Gaulle'a, Franco i Czang-Kai-Szeka. Główną domeną jego zainteresowań jest strategia polityczno-militarna Związku Sowieckiego. Jego książka "Strategy of Survival" /1978/, poświęcona analizie sowieckiego zagrożenia i środkom przeciwdziałania odbiła się szerokim echem w krajach anglosaskich. Bernard Crozier kierował do roku 1979 londyńskim Institut for the Study of Conflict, zajmującym się analizą napięć i konfliktów lokalnych i miedzynarodowych.

W 1919 roku Lenin wskazał komunistom cel: rewolucja światowa wszelkimi możliwymi sposobami i środkami. Przez 68 lat wiele zmieniło się na świecie, ale cel komunistów pozostaje ciągle ten sam. Jest to cel, który przyświeca wszelkim poczynaniom Moskwy.

■ NOWA BRON ■

Od wielu już lat istniały podejrzenia, że Kreml posługuje się handlem narkotykami. Z handlu narkotykami władze sowieckie czerpia nie tylko niebagatelne zyski - jest on traktowany przez sowieckie koła wojskowo-polityczne jako oreż, mający na celu degenerowanie społeczeństw zachodnich. Związek Sowiecki nie zmonopolizował jeszcze, rzecz jasna, rynku narkotyków i ich miedzynarodowego przemytu. Jego udział w tej brudnej branży jest mniejszy od udziału takich potęg, jak mafia sycylijska i amerykańska, grupy korsykańska i marsylska, neapolitańska Camorra czy gangi chińskie i kolumbijskie. Te organizacje przesteczne działają jednak przede wszystkim dla zysku. Związek Sowiecki handluje narkotykami nie tylko dla zysku i w tym sensie zaangażowany jest w światowy przemysł i handel narkotykami głębiej i poważniej: Sowiety świadomie dążą do wyniszczania zachodnich społeczeństw. Już podczas wojny koreańskiej komuniści chińscy rozpoczęli systematyczne rozpowszechnianie narkotyków wśród żołnierzy amerykańskich i ONZ-owskich. Skuteczność tego "zarażenia" doceniona została przez Chruszczowa w 1962 roku, kiedy to odbyło się w Moskwie tajne spotkanie przedstawicieli państw bloku wschodniego i Kuby; w roku 1967 analogiczne, miedzynarodowe tajne spotkanie odbyło się pod auspicjami Breżniewa. W 1962 roku rolę pierwszoplanową w handlu i przemyśle narkotyków powierzona została Kubie; w roku 1967 wytypowano drugi kraj wiodący - Bułgarię. Gen. Jan Sejna, b. sekretarz Rady Obrony KPCz, który zbiegł na Zachód poinformował służby specjalne na Zachodzie, że w 1962 roku właśnie na posiedzeniu przedstawicieli państw-stron Układu Warszawskiego zapadła decyzja o wykorzystywaniu na szeroką skalę narkotyków jako broni strategicznej. W tym samym mniej więcej czasie postanowiono rozwijać w Sowietach na znacznie większą, niż dotąd skalę badania i produkcję tajnej broni biologicznej i bakteriologicznej. Badania te intensyfikowane są w Sowietach w dobie obecnej.

Chruszczow w ten sposób uzasadniał w 1962 roku, na wspomnianym posiedzeniu, konieczność zajęcia się przez sowieckie służby specjalne handlem i organizacją przemytu narkotyków: - handel i przemysł przynosił poważne zyski dewizowe, co umożliwił lepsze finansowanie tajnych operacji sowieckich za granicą; - narkotyki rozprowadzać trzeba przede wszystkim na uniwersytetach amerykańskich (!) oraz wśród żołnierzy amerykańskich baz, - na obiekty szczególnie zmasowanej "inwazji" narkotykowej wytypowano Stany Zjednoczone, RFN i Kanadę - ze względu na stosunkowo łatwość penetracji tamtejszych rynków. Bezpośrednio po wspomnianym posiedzeniu przystąpiono do szkolenia w ww. zakresie kadr wywiadowczych. W latach 1962- 67 główną rolę w akcji "Narkotyk" powierzono Kuble. Castro upatrywał w tej akcji poważne źródło zasilenia swego budżetu; są poważne przypuszczenia aby sądzić, że właśnie ekspedycja "Che" Guevarry do Boliwii sfinansowana została (broń, sprzęt) za pieniądze, pochodzące ze sprzedaży narkotyków. Dwa lata wcześniej, w roku 1960 (według zeznań gen. Sejny) podpisana została w Pradze umowa między Kubą a Czechosłowacją (Kuba reprezentował brat Fidela Castro-Raul): przewidywała ona wzajemnie "szkolenie" w zakresie produkcji, przemytu i handlu narkotykami służb wywiadowczych czeskich i kubańskich. Umowa ta została podpisana w obecności gen. Sejny. Na mocy tejże umowy Kubańczykom przydzielono zadanie infiltracji Stanów Zjednoczonych i Ameryki Łacińskiej, dystrybucje narkotyków na tym obszarze oraz systematyczne zbieranie informacji o możliwościach korupcji policji i służb celnych. Poważną drogą przemytu narkotyków do USA był Meksyk.

W 1963 roku satelickie kraje Związku Radzieckiego odwiedził gen. Mikołaj Sawinkin (obecny dyrektor Departamentu Administracji KC KPZR), celem przyspieszenia i skoordynowania akcji "Narkotyk." Chruszczow postawił mu trzy zadania:

- wyszukanie banków, gdzie można by lokować i realizować uzyskane z przemytu i handlu narkotykami pieniądze,
- wdrozenie produkcji nowych narkotyków (czym ze względów bezpieczeństwa miały się zająć służby specjalne),
- stworzenie we wszystkich wizytowanych krajach wydzielonych do akcji grup, podległych bezpośrednio Moskwie.

Wraz z nasileniem akcji "Narkotyk" postanowiono także nasilić akcje propagandowe: używanie narkotyków postanowiono przedstawiać w środkach masowego przekazu specjalnie spektakularnie, jako przejaw degeneracji społeczeństw zachodnich, właściwy dla samego systemu kapitalistycznego. I rzeczywiście - w latach sześćdziesiątych temat ten szeroko podejmowany był przez środki masowego przekazu całego systemu socjalistycznego.

■ REWELACJE BULGARSKIE ■

W 1971 roku uciekł na Zachód płk Stefan Swierdlew - agent bułgarskiej służby wywiadowczej i bezpieczeństwa. Zabrał on ze sobą liczne tajne dokumenty, które udostępnił władzom greckim. Jego zeznania i wywiezione dokumenty potwierdzają w całości informacje, uzyskane od gen. Sejny. Z dokumentów tych wynika (m.in. z kopii tajnego posiedzenia w Sofii w dniu 16 lipca 1970), że w tym czasie Bułgaria zastąpiła już w chandlu narkotykami dotychczasową, wiodącą rolę Kuby. Bułgarska firma KINTEX-IMPORT, pod szyldem swej handlowej działalności, otrzymała zadanie rozprowadzenia

narkotyków. Bezpośrednią kontrolę nad tą firmą powierzono sowieckiemu KGB. Bułgarska bezpieka jest zresztą najbardziej kontrolowana przez sowieckie KGB spośród wszystkich służb bezpieczeństwa krajów bloku wschodniego. Pieniądze z "operacji bułgarskich" przeznaczono na pomoc finansową dla lewicowych ugrupowań rewolucyjnych, terrorystycznych oraz na poprawę budżetu Bułgarii. Za działalność firmy KINTEX-IMPORT odpowiedzialny został ge. Grigorij Choopow, a agentem-łącznikiem między bułgarskim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych a firmą - niejaki Baranow. Ciekawostką jest fakt, że tenże Baranow miał stały osobisty kontakt z Luilem Denis, jednej ze znaczących postaci w słynnej aferze "French Connection" /"Francuski łącznik"/, uwiecznionej w filmie pod tym tytułem. Operacjami przemytniczymi KINTEX-u kierował wyższy oficer bułgarskiej służby bezpieczeństwa - Terzjew.

Po tajemniczym zniknięciu "francuskiego łącznika" Terzjew stworzył nową siatkę przemytniczą, złożoną przede wszystkim z Turków, którzy otrzymali prawo stałego pobytu w Bułgarii. Pośród nich znajdowali się Abuser Usurlu i Bekir Celenk, zamieszani w zabójstwo planowane na osobie Jana Pawła II i zdemaskowani zeznaniami Ali Ağcy.

W 1983 roku porównano wyniki trzech, niezależnie prowadzonych śledztw: -śledztwa, prowadzonego przez sędziego Carlo Palermo w Trydencie (dotyczyło handlu bronią i narkotykami - ślady prowadziły do Bułgarii) -śledztwa, prowadzonego przez sędziego Ilario Martella dotyczącego próby zabójstwa Jana Pawła II (ślady prowadziły do Bułgarii) -śledztwa, prowadzonego przez sędziego Ferdinando Imposimato, dotyczącego kontaktów Czerwonych Brygad z bułgarskimi tajnymi służbami.

Z porównania wyników tych trzech śledztw wynika niezbicie, że istnieją ścisłe powiązania między Czerwonymi Brygadami a bułgarskimi tajnymi służbami, sycylijską mafią i neapolitańską Camorra; Bułgaria jest dobrze zorganizowanym punktem przerzutowym narkotyków

- w zamian za dostawę heroiny terroryści włoscy nabywają broń od sycylijskiej mafii i neapolitańskiej Camorry.

• ... KUBAŃSKIE •

25 lutego 1983 roku odbył się w Miami proces, podczas którego skazano wielu przemytników, przeważnie Kolumbijczyków. Szef grupy, 35-letni Jaime Guillot Lara skazany został zaocznie. Mimo młodego wieku był on już wówczas multimilionerem. Przejawiał także pewne ambicje polityczne. Zatrzymany przez policję meksykańską bez trudu uzyskał zwolnienie. Mówi się, że już nie żyje... . Byłaby to zwykła historia gangsterska, gdyby nie fakt, że zamieszany był w nią rząd Fidela Castro. Adwokat kolumbijski, Johnny Crump (który był w tej sprawie informatorem policji) poznał pewnego dnia Larę i zaangażował go w przemyt. Przedstawił Larę swemu przedstawicielowi ambasadorowi Kuby w Bogocie-Fernando Ravelo Reneto. Lara, za pośrednictwem ambasadora, przybył do Hawany, gdzie spotkał się z Rene Rodriguezem Cruz, przewodniczącym Kubańskiego Komitetu d/s Przyjaźni Między Narodami (ICAP). Rene Rodriguez Cruz jest osobistym przyjacielem Castro. Negocjacje rozpoczęte w sierpniu 1979 roku trwały kilka miesięcy. W myśl osiągniętego porozumienia liczna flotylla małych stateczków Kolumbijskich uzyskała prawo korzystania z portów kubańskich, co w ogromnej mierze ułatwiło jej przemyt. W zamian Hawana uzyskała od przemytników spore kwoty dolarowe, które Castro przekazywał następnie terrorystycznemu ugrupowaniu kolumbijskiemu, tzw.

Ruchowi M-19.

Informacje Crumpa potwierdzone zostały w całej rozciągłości w kwietniu 1983 roku przez kubańskiego zbiega, Mario Esteves Gonzalesa.

Dzięki operacjom Guillot'a ustalono (raport senackiej komisji z 30 kwietnia 1983), że przemycano tysiąc ton marihuany, 25 milionów pastylek metagalonu i 50 kg czystej kokainy.

Nie tylko Kolumbijczyk Lara wyszedł cało z afery. Podczas wspomnianego procesu w lutym 1983 roku sąd osadził także zaocznie 4 kubańczyków: byłego ambasadora Kuby w Bogocie, byłego doradcę ambasadora w randze ministra G. Bassols Suareza, Rene Rodriguez Cruz - przewodniczącego Kubańskiego Komitetu d/s Między Narodami (I) i wiceadmirała kubańskiego Aldo Santamaria Cuadrado, komendanta głównego marynarki kubańskiej, członka KC kubańskiej partii komunistycznej.

Oczywiście - o ich ekstradycji Kuba nie chciała w ogóle rozmawiać.

Obecnie narkotyki pochodzące z Kolumbii (surowiec) przerzucane są przez Panamę na Kubę, gdzie są rafinowane i ekspediowane przez Kanadę, Meksyk i wyspy Bahama do Stanów Zjednoczonych. Kubańczycy zastąpili Laure, który zniknął bez śladu, byłym deputowanym kolumbijskim - Pablo Escobar Gaviria - który ścigany przez policję wielu krajów schronił się na Kubie i służy rządowi Castro swym doświadczeniem wytrawnego przemytnika i gangstera. Jego prawa reka jest także poszukiwany przez policję b. finansista amerykański - Robert Vesco. Pieniądze z przemytu narkotyków zasilają dziś budżet rewolucyjnego rządu w Nikaragui.

■ ... NRD - owskie ■

7 maja 1970 roku zatrzymany został w San Antonio /Teksas/ niejaki Manuel Suarez, były szef policji meksykańskiej - znaleziono przy nim 40 kilogramów heroiny, które usiłował przemyścić do USA. Po nieudanej próbie samobójstwa w więzieniu Suarez zdecydował się mówić. Jego informacje były rewelacyjne.

Okazało się, zaopatrywał się on w heroinę i morfinę w ...Berlinie Wschodnim. Zwerbowany został do tej pracy przez tajemniczego Polaka posługującego się nazwiskiem Widawski, i mającego doskonałe stosunki w NRD. Z Widawskim spotykał się Suarez w Brukseli lub Antwerpii. Stamtąd odbywali wspólne podróże do Berlina Wsch. Podczas 27 miesięcy Suarez korzystał sześć razy z pośrednictwa Widawskiego. Interesujące, że wszystkie podróże Suareza odbywały się ...bez wizy i bez stemplowania paszportu, co może być tłumaczone tylko powiązaniem na wysokim szczeblu ze służbami NRD-owskimi.

■ ... i RADZIECKIE ■

7 czerwca 1986 roku policja holenderska odkryła na statku sowieckim "Kapitan Tomson", przybyłym do Rotterdamu, około 200 kilogramów heroiny i innych narkotyków, ładunek wartości czarnorynkowej ok. 200 milionów dolarów! Narkotyki, ukryte w beczkach z rodzynkami, pochodziły z Afganistanu, a załadowane zostały na statek w Rydze. Po konfiskacie towaru statek odpłynął wolny gdyż uznano, że kapitan mógł nie znać prawdziwej zawartości "beczek z rodzynkami".

Bernard Crozier

WYWIAD Z EDWARDEM LUTTWAKIEM

Edward Luttwak urodził się w Siedmiogrodzie, skąd wyjechał tam w 1947 roku do Anglii. Tam też ukończył studia ekonomiczne, a w 1972 roku przyjechał do USA, gdzie zaczął pracować jako doradca rządu. Interesuje się strategią wojskową, chociaż pracę doktorską napisał z historii imperium rzymskiego. Jest dobrym znawcą ZSRR. Obecnie pracuje w Centrum Badań Międzynarodowych i Strategicznych, jest konsultantem rządowym do spraw międzynarodowych.

Pytanie: W Polsce uważa się, że polityka prezydenta Reagana, zwłaszcza z pierwszej kadencji, nagradzania Sowieców za właściwe postępowanie, a karania różnego typu sankcjami za postępowanie niewłaściwe, jednym słowem polityka nieustępliwości i stanowczości jest najlepsza polityka amerykańska, przynajmniej po wojnie. Czy wyobraża Pan sobie inną, lepszą politykę?

Odpowiedź: W ciągu pierwszych 4 lat rządów prezydenta Reagana nie było w obrębie administracji zgody jaka ma być właściwie polityka zagraniczna, więc ona była siłą rzeczy kompromisem. Kompromis ten polegał na braku kontaktów z Moskwą. Nasi przywódcy nie jeździli do Moskwy, a Rosjanie tutaj. Co dziwniejsze wywarło to taki wpływ na przywódców europejskich i Japończyków, że oni też przestali jeździć do Moskwy. To był niespodziewany rezultat tej polityki. Drugim problemem było utrzymanie presji militarnej na ZSRR, nie tyle poprzez masy broni, jej ilość, ile poprzez techniczne innowacje. I jak wynikało chociażby z przemówień Ogarkowa, administracja prezydenta Reagana wywołała u Sowieców coś w rodzaju paniki technologicznej. Ogarkow krzychał coraz głośniejsze i w końcu widocznie nawet w Moskwie mieli tego dość i wystali go do Komendy Głównej Paktu Warszawskiego. Jeśli chodzi o SDI to Sowieci byli może nie tyle zaniepokojeni samym SDI ile gwałtownym rozwojem techniki wywołanym przy okazji SDI. Oni bali się, że ten rozwój będzie tak zaawansowany, że Sowieci zwyczajnie nie podążają. Sowieci znają ogromną amerykańską zdolność do innowacji. Zawsze przy okazji tego rodzaju programów wojskowych może powstać jakaś nowa broń, nowy ważny z wojskowego punktu widzenia wynalazek. Rosjanie mogą oczywiście sprostować Ameryce w rakietach, czołgach, bombach, ale już mają kłopoty z bronią satelitarną, elektroniką.

W wielkich fabrykach można wyprodukować czołg, bombowiec, ale już IBM wymaga wielu mikroelementów i one muszą być wytwarzane w małych firmach. Znaczenie elektroniki dla uzbrojenia rośnie z każdą chwilą. Być może przyszli historycy powiedzą, że pierestrojka powstała jako rezultat paniki militarnej, z powodu niezdolności systemu sowieckiego do dotrzymania kroku Zachodowi pod względem pewnych technik wojskowych.

Pytanie: Czy warto zawierać porozumienia rozbrojeniowe z ZSRR? W Polsce panuje pogląd, że porozumienia takie służą tylko stronie sowieckiej i to nie tyle z politycznego - to odrębny problem - ile ze ściśle wojskowego punktu widzenia?

Odpowiedź: Rząd USA nie jest w stanie prowadzić spójnej polityki wobec ZSRR. Nasze działania nacechowane są sprzecznościami. Z jednej strony naszym celem jest walka o wolność, a z drugiej strony w wielu sprawach współdziałamy z Sowiecami. Walczymy o wolność wówczas, gdy jest to łatwe. Często brakuje nam woli do przeciwdziałania Sowiecom. USA wywierają wpływ na ZSRR, ale nie tyle przez swoją politykę, a raczej przez sam fakt swego istnienia i swoich osiągnięć.

Np. Stany Zjednoczone zaprzestają na skutek różnych tarc wewnętrznych rozmów z Sowietami, to zaprzestają takich rozmów także inne kraje i Sowietci bardzo traca na prestiżu. Nagle okazuje się, że nie są tak szalenie ważni, że można ich ignorować i nic się nadzwyczajnego nie dzieje.

W naszym systemie politycznym nie ma możliwości ustalenia jednolitej strategii militarnej wobec Sowietów, ale jak już mówiłem poprzez między innymi rozwój np. elektroniki USA ma wielki wpływ na postępowanie ZSRR, chociaż jest to sprawa w zasadzie niepolityczna, wewnętrzna. To jest trochę tak jak wielki ston (w tym wypadku USA) ocierający się o drzewo. Nie jest zamiarem sfonia to drzewo zgnać, a ono jednak się zgina. Samo istnienie USA, a nie amerykańska polityka, jest ważnym problemem dla ZSRR. Stanowi główny czynnik utrudniający wchłonięcie całej Eurazji przez Sowiety, od Francji po Chiny. Polityka USA jest czysto obronna, np. utworzenie NATO, ale nie ma ona bezpośredniego wpływu na to co się dzieje w ZSRR.

Pytanie: Czyli Pana zdaniem wewnątrzamerykańskie przyczyny doprowadziły do zmiany od nazwania przez prezydenta Reagana ZSRR imperium zła do dzisiejszych najlepszych chyba od czasów II wojny stosunków z ZSRR?

Odpowiedź: Tak, ta zmiana jest funkcją wewnątrzamerykańską. W USA najważniejsze są sprawy finansowe, budżet, podatki, subsydia dla rolnictwa. Debaty nad budżetem trwają 9 miesięcy, a termin "imperium zła" wypowiada się po prostu lekko, bez głębszego zastanowienia – to nie jest w gruncie rzeczy istotne. Niewiele znaczy.

Spółeczeństwo amerykańskie w swej masie ma zdrowy pogląd na naturę Sowietów, a elity amerykańskie mają zupełnie fantastyczne wyobrażenie o Sowietach. Właśnie to co można określić jako opinię publiczną w USA nie pozwoli na poważniejsze odchylenia polityczne w stosunku do ZSRR, na zbyt dużą utępiłość. Ta sama opinia publiczna nie pozwoli na politykę całkowicie cyniczną i może dlatego właśnie nie powiodły się próby polityki Kissingera w stylu Metternicha. Tak więc niemożliwa jest polityka całkowicie wroga wobec Sowietów, ani też przyjaźń z tym państwem. Ogół oczywiście wie, że Sowiety są złem, ale nie ma najmniejszej ochoty walczyć. Tak po prostu jest i to są te zasadnicze ramy naszej polityki w stosunku do ZSRR.

Pytanie: Jak wiadomo podczas szczytu w Moskwie nie poruszono w ogóle spraw Europy Wschodniej; jak określiłby Pan dziś priorytety polityki amerykańskiej i miejsce Europy Wschodniej w tym priorytetach?

Odpowiedź: USA koncentrują swoją uwagę na procesie przemian w ZSRR i rząd USA wierzy, że jeśli w Sowietach będą miały miejsce pozytywne zmiany to one będą miały zasadniczy wpływ także na Europę Wschodnią. Reżimy wschodnioeuropejskie mogą ignorować zielone światło z Moskwy dla liberalizacji, ale nie mogą ignorować czerwonego światła. Polityka amerykańska ze wszystkimi swoimi uwarunkowaniami, a mówiłem już że jest ona "lekka, beztroska", jest bardzo przychylna wobec tego co nazwać można "pieriestrojka". USA pomagają Gorbaczowowi np. poprzez podnoszenie mu prestiżu i liczą na to, że utrzyma on swój kurs na liberalizację. W ten sposób, pośrednio Amerykanie dotykają spraw Europy Wschodniej, dochodzimy do punktu ostatecznego, kwestii istnienia imperium. Stany Zjednoczone nigdy w pełni nie zrozumiały implikacji (did not interiorize) Jałty. To jest tak jak ktoś kto zabił kuzyna, ale stara się o tym nie myśleć. Ja bym to nazwał postępowaniem paranoicznym.

Pytanie: Czy zgodziłby się Pan z poglądem, że zimna wojna zaczęła się właśnie w Europie Wschodniej i sytuacja w tej części świata wywarła wielki wpływ na obraz polityki światowej?

Odpowiedź: Zimna wojna zaczęła się właściwie w 1944 roku pomiędzy Pragą i Warszawą, kiedy Stalin nie pozwolił alianckim samolotom lecącym na pomoc Powstaniu Warszawskiemu lądować na prawym brzegu Wisły. Od tego momentu ludzie na Zachodzie mogli się domyśleć, jak będzie się układać sytuacja w przyszłości. Było jasne, że ta przyszłość to będzie nie współpraca, a konfrontacja. Gdyby rząd niemiecki był wówczas normalnym rządem zdolnym do zawarcia przymierza, kierującym się jakąś strategią, logiką? Ale to przecież w odniesieniu do III Rzeszy nie było niemożliwe, a każdy krok Hitlera to był ruch w stronę przepaści.

Europa Wschodnia została odsunięta na dalszy plan, ponieważ Europa jest sprawą zbyt poważną, a amerykański system polityczny nie lubi się angażować w takie poważne przedsięwzięcia. Europa Wschodnia to nie Grenada. Ciekawa była niemiecka postawa wobec "Solidarności". Było duże zakłopotanie, gdyż "Solidarność" budziła panikę w kręgach rządzących RFN, że może zakłócić proces dogadywania się z ZSRR.

Moim zdaniem dziś po raz pierwszy od 1944 roku istnieje realna możliwość dokonania głębokich zmian w Europie Wschodniej. Jeśli obecny kurs polityczny w ZSRR zostanie utrzymany to cały wysiłek tego państwa pójdzie na sprawy wewnętrzne (utrzymanie ZSRR jako całości) a kontrola nad Europą Wschodnią będzie trudna do utrzymania. Przyszłością ZSRR jest albo dezintegracja, albo powstanie czegoś w rodzaju Indii - jakaś dobrowolna konfederacja. I taka konfederacja nie ma już nadwyżki siły. W sąsiedztwie Indii jest Bangla Desh, Sri Lanka, Burma. Indie teoretycznie są bardzo silne, ale cała siła jest absorbowana wewnątrz. Po raz pierwszy od 1944 istnieje możliwość, że ZSRR będzie musiał poddać ponownej rewizji sprawy swych granic, a ściślej granic imperium, albowiem będzie musiał używać całej swej siły, aby utrzymać to imperium jako całość polityczną.

Pytanie: Przywiązuje Pan dużą wagę do sił dosłownych w imperium.

Odpowiedź: Tak, ale pod warunkiem, że system polityczny w imperium jest już częściowo demokratyczny.

Pytanie: Jak Pan przewiduje rozwój sytuacji w ZSRR, chodzi o los tego co się nazywa "pierestrojka" i "glasnost"?

Odpowiedź: Gorbaczow właśnie dokładnie nie wie co robi. Nie można ufać jego osądowi politycznemu. W Alma-Atie Gorbaczow zmienił Kunajewa na Rosjanina, miejscowa ludność nie chciała się pogodzić z tą decyzją i to było dla niego szokiem. On teraz idzie cały czas naprzód, stając się coraz bardziej radykalnym. Pozwolił napisać ten słynny artykuł o Bucharinie co spowodowało replikę "Sowieckiej Rassiji" i Ligaczowa, a Gorbaczow w odpowiedzi jeszcze zaostrzył swoje stanowisko. On się cofa idąc do przodu.

Pytanie: Czy Gorbaczow ma jakiś jasny cel swoich działań?

Odpowiedź: Absolutnie nie, on nie wie gdzie idzie, ale idzie przed siebie. Obecnie ZSRR jest państwem, w którym nawet KGB nie ma jasnych instrukcji. Kiedy jest jakaś demonstracja oni (KGB) nie wiedzą, czy mają jej pomóc, czy ją spałować.

Pytanie: Prezydent Senatu Wolnego Miasta Gdańska Rauschnig jeszcze przed wojną wystąpił z NSDAP, wyjechał na Zachód i napisał książkę, w której z resztą potępił hitleryzm i w tej książce jest stwierdzenie, że Hitler musi utrzymać ten system rygorystyczny, niezmienny, z dużym napięciem ideologicznym, bo jeśli system hitlerowski zacznie się liberalizować, rozluźniać to w końcu upadnie. Czy ta prawidłowość odnosi się do Sowietów?

Odpowiedź: Obserwując historię Rosji można zauważyć, że kariere często robią ludzie których można określić mianem reakcjonistów, często postępują okrutnie. Oni niszczą swoich przeciwników, mordują, a są potem nazywani wielkimi - wielki Stalin, wielki Iwan Groźny, natomiast reformatorzy są zatrzymywani. Reformy zawsze natrafiają w Rosji na poważne przeszkody. Gorbaczow żył przez wiele lat w systemie postchruszczowskiej ograniczonej destalinizacji, lub lepiej ograniczonej reakcji i w tym systemie on funkcjonował znakomicie. Ale, gdy osiągnął najwyższą władzę i rozpoczął głośność to jakby przestał sobie zdawać sprawę z tego co robi. W ZSRR jakby cały mechanizm polityczny dotychczas funkcjonujący runął. Np. zmieniono przywódcę a Azerbejdżanie i długo nie mógł Gorbaczow znaleźć nikogo na jego miejsce, swojego człowieka i wreszcie znalazł kogoś kto był ambasadorem w Pakistanie. Tak samo w przypadku Estonii, nie mogli znaleźć żadnego odpowiedniego Estończyka i wreszcie postawiono na czele estońskiej partii dotychczasowego ambasadora w Managui. To znaczy, że ani w Baku, ani w Tallinie nie ma w hierarchii partyjnej nikogo komu Gorbaczow mógłby ufać. Okazuje się, że zarządzanie polityczne jest dziś niepewne. Gorbaczow nie ma pełnej władzy, nie potrafił zmienić I sekretarza partii ukraińskiej, wygląda na to, że Szczerbicki zostanie. Bardzo wielu ludzi Breżniewa pozostało na dotychczasowych stanowiskach.

Pytanie: Jak Pan sądzi, czy dochodzimy do momentu krytycznego w polityce sowieckiej, czy jeśli zmiany w ZSRR poszłyby dalej to oznaczałoby to koniec komunizmu? Podawał Pan przykład Indii, ale tam jest wolna prasa, wolne wybory, inny system. A z drugiej strony nie zmieniać, nie reformować, gdyby Gorbaczow się cofnął, to oznaczałoby marazm, stagnację, upadek. Czy między tymi dwiema drogami, z których każda jest w zasadzie zła, widzi Pan jakieś jeszcze inne wyjście?

Odpowiedź: Gorbaczow stara się zachować jednak strukturę partii, chce kontrolować jej aparat, a nie wyrzucić partii, zachwiać jej strukturę. Chodzi także o coś co nazwałbym dekoloktywizacją. Szczególnie na wsi dalsze istnienie partii jest ważne dla Gorbaczowa. We wsiach partia istnieje przede wszystkim w zarządkach kolchozów i sowchozów. Gorbaczow ma wizję, w której on jak car siedzi "na Moskwie" i ma do czynienia z drobnymi funkcjonariuszami. Chciałby "spłaszczyć" strukturę partii, mieć do czynienia z drobnym "kurzem", a nie z "bojarami". W czasach Breżniewa aparat partyjny w każdej republice miał dużo autonomii. "Bojarzy" latami siedzieli na swoich stołkach i właściwie byli poza kontrolą centrali. Gorbaczow wprowadził niezwykłą centralizację. Powoli usuwa kolejnych "bojarów" w: Kazachstanie, Azerbejdżanie, Estonii, Armenii. Jego celem jest nowo-woczesna, elektroniczna autokracja kierowana z Moskwy. Można to określić, że ZSRR przechodzi dziś od feudalizmu do nowoczesnego królestwa. Gdyby ZSRR teraz wycofał się z polityki reform i nastąpił tam zwrot reakcyjny to by oznaczało oczywiście także zielone światło dla zamordyzmu w Europie Wschodniej. Teraz jest jakby moment kluczowy w Europie Wschodniej, zmiana generacji, przełom. Nawet jeśli Gorbaczow przegra myślę, że bardzo trudno będzie Związkowi Sowieckiemu wrócić do polityki interwencji w Europie Wschodniej. Budapeszt 1956 już się chyba nie powtórzy. Wygląda na to, że teraz jest jakby moment historyczny.

Pytanie: Opozycja w Polsce najogólniej rzecz biorąc dzieli się na dwie orientacje jeśli chodzi o sprawę niepodległości. Część opozycji uważa, że tylko pełna niepodległość ma sens i o nią należy walczyć. Natomiast druga część wyznaje pogląd, że obecnie realna jest tylko tzw. finlandyzacja, który z tych poglądów jest Pana zdaniem słuszny i co opozycja w Polsce powinna obecnie robić?

Odpowiedź: Wydaje mi się, że gdyby dziś doszło do rewolty w Polsce to Związek Sowiecki nie

interweniowałby, pod warunkiem że byłoby przez Polaków uszanowane strategiczne, wojskowe interesy ZSRR. Po raz pierwszy od 1944 rząd sowiecki nie bardzo może interweniować w Polsce. Musiałby przeprowadzić bardzo poważne zmiany wewnętrzne. Przypuśćmy, że mamy taką rewoltę w Polsce, ale bez wyzwania dla wojskowych interesów ZSRR. Na przykład strajk kolejarzy, ale pociagi wiozące zaopatrzenie dla baz w NRD czy w Legnicy są przepuszczane - to wówczas jest szansa na sukces.

Pytanie: Obserwujemy dziś politykę RFN wobec ZSRR, która być może w sposób niezamierzony podważa generalną politykę Zachodu. Wiele długów PRL-u sprzedawanych jest niemieckim bankom i to po cenie 10, 20 centów za dolara. Rząd PRL winien jest bankom amerykańskim (prywatnym) zaledwie 400 mln dolarów z czego połowa to kredyty obrotowe przeznaczone na finansowanie operacji handlowych. Stąd wniosek, że amerykańskie prywatne pieniądze zainwestowane w Polskę wynoszą zaledwie 200 mln dolarów. Wielu ludzi podejrzewa, że poprzez pośredników rząd polski wykupuje własne długi. Nie ulega natomiast wątpliwości, że te długi wykupują banki niemieckie. Czy na tej podstawie można uznać za uzasadniony pogląd, że Zachód pozwala Niemcom wpływać na sytuację w Polsce?

Odpowiedź: Plan Genschera polega z grubsza na tym, aby w zamian za zgodę ZSRR na większą swobodę ruchów w stosunkach wewnątrzniemieckich, pozostałe sprawy pozostawić bez zmian. RFN uznaje więc system status quo - mówi tyle - w zamian za zgodę na nasze połączenie się z NRD możecie zatrzymać Polskę. Stanowisko rządu zachodnoniemieckiego jest takie; im bardziej ZSRR pozwoli Niemcom się zjednoczyć, tym bardziej Niemcy będą neutralne. I idąc dalej te neutralne Niemcy będą buforem pomiędzy Wschodem i Zachodem. Ja nie twierdzę, że taki jest plan Kohla, ale napewno taki jest plan Genschera. Coraz lepsze stosunki RFN z NRD, stopniowo RFN staje się neutralna, na koniec zjednoczenie Niemiec i te Niemcy są tarczą osłaniającą od Zachodu ZSRR. W zamian za to w swojej części Europy robi co chce. Dlatego właśnie kanclerz Schmidt miał tak negatywny stosunek do "Solidarności" bo ona psuła mu jego politykę. Również prasa niemiecka była bardzo krytyczna wobec "Solidarności". Takie "wyjaśnienie" spraw Polski pomiędzy Rosją, a Niemcami ma zresztą długa tradycja.

Pytanie: A jaki jest stosunek Stanów Zjednoczonych do polityki RFN?

Odpowiedź: Każdy amerykański polityk zdaje sobie oczywiście sprawę z tego powolnego (jak lodowiec - a like a glacier) zeslizgiwania się Niemiec w kierunku neutralizacji. Ten powolny ruch jest czasami jakby przescigany przez wydarzenia w Moskwie.

Pytanie: Czy przewiduje Pan jakieś poważniejsze zmiany wschodnioeuropejskiej polityki amerykańskiej w związku z wyborami w USA?

Odpowiedź: Bardzo niewielkie. Zmiany w Polsce, kontrolowane i uwzględniające interesy sowieckie, o czym już mówiłem, są możliwe, ale zależą od postawy samych Polaków, a nie od polityki amerykańskiej. Jeśli wygra Dukakis to położy większy nacisk na prawa człowieka, jeśli wygra Bush to będzie zwracał uwagę raczej na równowagę sił - balance of power. Interesująca jest na tym tle postawa polskiego Kościoła Katolickiego. Kościół jest jakby ambiwalentny. Część hierarchii popiera działania wolnościowe, a część jest zadowolona ze status quo i jakby zabiega o jego utrzymanie. Ale powtarzam dziś jest pewna, moim zdaniem poważna, szansa akcji niepodległościowej.

Dziękujemy za rozmowę.

FUNDUSZ DLA DEMOKRACJI

Czwarty rok swego istnienia rozpoczął już Fundusz dla Demokracji (The National Endowment for Democracy - EFD), prywatna organizacja, utworzona w 1983 r. w Waszyngtonie i kierowana przez Zarząd złożony przez przedstawicieli obu partii amerykańskich - Republikanów i Demokratów. Zadaniem EFD jest gromadzenie środków i udzielanie pomocy siłom demokratycznym na całym świecie. Aktualnie pomoc ta udzielana jest na rzecz rozwoju demokracji i pokojowej walki o jej wprowadzenie w kilkudziesięciu krajach Afryki, Ameryki Łacińskiej, Azji i Europy. W ostatnim okresie pomoc ta przyczyniła się do usunięcia dyktatur na Filipinach i Haiti oraz przywrócenia rządu demokratycznego Gwatemali. Łącznie w ciągu roku EFD udzieliła ponad 15 milionów dolarów pomocy ruchom i działaniom demokratycznym na całym świecie, w tym również i w Polsce.

Działalność EFD jest jawna. Corocznie publikowane są sprawozdania, które podają dokładnie, ile pomocy udzielono i na jaki cel. Nie powinno nas to dziwić, bowiem takie są reguły gry w demokratycznym państwie. Stąd też dokładnie wiadomo, ile pomocy udzielane jest również polskim ruchom wolnościowym. Jak dotychczas, wydaje się, że nie bardzo interesuje to polską prasę niezależną. Zupełnie inaczej jest z reżimową. Pierwszym Polakiem, który zgłasza się do EFD, aby otrzymać coroczne sprawozdania finansowe, jest korespondent "Trybuny Ludu" - Zygmunt Broniarek, a to pismo poświęciło już niejedną artykuł o Funduszu dla Demokracji. W "Polityce" określono swego czasu EFD jako fundusz "walki z demokracją"! Oczywiście, w peerelowskiej prasie nie wspomina się nawet o tym, że ruchy demokratyczne w Chile przeciwstawiające się dyktaturze gen. Pinocheta, otrzymały z EFD tylko w ostatnim roku blisko milion dolarów, a w Republice Południowej Afryki - blisko pół miliona.

Czytelnika polskiego zainteresują zwłaszcza dane dotyczące pomocy dla polskich ruchów demokratycznych. W roku budżetowym 1986 wyniosły one dokładnie 934.763 dolary. Niżej załączamy sprawozdania EFD za rok 1986 dotyczące Polski. Dane te są jawne i swobodne, ale kłamliwie korzysta z nich "Trybuna Ludu". Trzeba więc udostępnić je w pełni polskiemu czytelnikowi. Sprawozdanie dotyczące Polski obejmuje 7 nienumerowanych pozycji. Każda z nich rozpoczyna wskazanie instytucji amerykańskiej za pośrednictwem której pomoc jest udzielana, a następnie instytucji czy programu polskiego, który z pomocy korzysta. Nazwy jednych i drugich (badz inne określenia odbiorcy) podaliśmy w języku angielskim, dodając dosłowne polskie tłumaczenie, które nie musi być identyczne z polską nazwą. W przypadku gdy pomoc została przeznaczona nie dla osobnej instytucji, lecz dla pewnej grupy odbiorców (np. dla niezależnych oficyn wydawniczych), wtedy pisaliśmy ją z małej litery. Z przyczyn, które czytelnicy na pewno rozumieją wstrzymaliśmy się z bliższym określaniem, do kogo konkretnie dana pomoc w Kraju powinna docierać i w jakiej wysokości. Ograniczyliśmy się jedynie do dosłownego przetłumaczenia fragmentu opublikowanego sprawozdania EFD.

Fundusz dla Demokracji nie jest instytucją wielką. Zajmuje dosłownie kilka skromnych pomieszczeń na 5 piętrze wysokiego gmachu w samym centrum Waszyngtonu, przy 15 ulicy. Pracuje tam mniej niż dwadzieścia osób pod kierunkiem Carla Gershmana. Okresowo zbiera się Zarząd Funduszu, działający pod prezesurą Johna Richardsons; w składzie Zarządu znajdują się m.in. pani Polly Baca z Krajowego Komitetu Demokratycznego i Frank J. Fahrenkopf z Krajowego Komitetu Republikańskiego, b. republikański Sekretarz Stanu - prof. Henry Kissinger i przewodniczący związków zawodowych AFL-CIO - Lane Kirkland.

Pomoc z Funduszu dla Demokracji płynie już czwarty rok do naszego Kraju różnymi drogami

i dociera do niejednej grupy opozycyjnej. Możemy mieć nadzieję, że tak długo, jak długo system demokratyczny w Polsce nie zostanie przywrócony, będzie ona płynąć nieprzerwanie i docierać coraz pełniej do tych wszystkich, którzy rzeczywiście potrzebują jej na pokojową walkę o wprowadzenie demokracji w Polsce.

Andrzej Ocisto.

Sprawozdanie Endowment for Democracy (EFD) za 1986.
(fragment dotyczący Polski)

Fundacja AURORA w celu poparcia dwu przedsięwzięć na rzecz wolności słowa oraz opozycji demokratycznej w Polsce

1. pomoc dla *Polish Legal Defence Fund* (polski Fundusz Pomocy Prawnej) , organizacji w Polsce, która dostarcza prawnej i materialnej pomocy dla więźniów politycznych i ich rodzin prześladowanych przez władze z racji ich pokojowej działalności na rzecz demokracji.

Pomoc ta umożliwia Funduszowi obronę więźniów politycznych również w publikacjach ogłaszanych w prasie, broszurach i ulotkach przedstawiających stan przestrzegania praw człowieka w Polsce.

2. pomoc dla *Literary Notebooks* ("Zeszyty Literackie") wydawanego w Paryżu w języku polskim kwartalnika literackiego , kolportowanego w Polsce . Pomaga podtrzymywać wymianę myśli między Polską a Zachodem pobudzając wolną myśl w Polsce. EFD częściowo pokrywa koszty publikacji i kolportażu.

92.400,- dolarów USA

FREE UNION INSTITUTE - FTUI (Instytut Wolnych Związków Zawodowych) w celu poparcia *Solidarności* przez pomaganie znajdującemu się w Brukseli *Coordinating Office of Solidarnosc Abroad and others* (Zagraniczne Biuro Koordynacji Solidarności oraz inne ośrodki) przy zbieraniu informacji o ruchu robotniczym w Polsce, upowszechnianiu informacji o prawach związków zawodowych w Polsce oraz wspieraniu niezależnej prasy w Polsce. Pomoc jest również kierowana do znajdującego się w Nowym Jorku *Committee in Support of Solidarity* (Komitet Poparcia Solidarności) na tłumaczenie i publikowanie materiałów na temat kwestii związanych z prawami robotniczymi i związkowymi z prasy *Solidarności*.

304.163.- dolarów USA

FREEDOM HOUSE (Dom Wolności) w celu poparcia dwu czasopism, kolportowanych w Polsce, aby umożliwić im kontynuację i poszerzenie działalności . (1) *Aneks*, wydawnictwo londyńskie, ukazujący się w języku polskim kwartalnik polityczny, oraz (2) *Uncensored Poland News Bulletin* (*Biuletyn Polskich Wiadomości poza Cenzurą*), dwutygodnik publikowany w Londynie przez *Information Centre for Polish Affairs* (centrum Informacyjne Spraw Polskich), dostarczający dokumentów i sprawozdań z pierwszej ręki na temat wydarzeń w Polsce, a przeznaczony dla środków masowego przekazu, oraz dla uczonych i badaczy na całym świecie. W tej samej pozycji mieści się pomoc dla *Independent Polish Agency IPA* (*Niezależna Agencja Polska*) w Lund (Szwecja) w celu poszerzenia jej programu upowszechniania informacji wśród ugrupowań demokratycznych w Polsce.

96.400,-dolarów USA

FREEDOM HOUSE w celu udzielenia dodatkowej pomocy znajdującej się w Szwecji (Lund) *Independent*

Polish Agency IPA (Niezależna Agencja Polska) przy analizowaniu zachodniej prasy informacyjnej i periodycznej, ukazującej się po angielsku, francusku i niemiecku, wybieraniu bardziej istotnych tekstów i publikowaniu ich w ich oryginalnych językach w dwumiesięczniku przeznaczonym do kolportażu w krajach Wschodniej Europy.

30.800,- dolarów USA

INSTITUTE FOR DEMOCRACY IN EASTERN EUROPE - IDEE (Instytut na rzecz Demokracji we wschodniej Europie) w celu kontynuowania jego działalności w udzielaniu pomocy opozycji demokratycznej w Polsce. Dwuczęściowy program obejmuje pomoc dla *Independent Publishing Houses in Poland* (niezależne oficyny wydawnicze w Polsce). Niezależne wydawnictwa, które nie są kontrolowane przez władze PRL i nie są poddane cenzurze, stanowią dzisiaj dla Solidarności i ruchu demokratycznego jeden z najbardziej efektywnych środków popierania i zachęcania niezależnej opinii publicznej. Niezależne oficyny wydawnicze w Polsce, reprezentujące szeroki wachlarz różnych poglądów demokratycznych, stworzyły konsorcjum w celu nabywania urządzeń i potrzebnego zaopatrzenia materiałowego oraz w celu płacenia osobom piszącym, wydawcom, drukarzom i kolporterom ich publikacji.

Ponadto IDEE pomaga *self education and human rights groups and others independent periodicals program* (grupy samokształceniowe i praw człowieka oraz inne programy periodyczne) tworzącym dla prowadzenia niezależnych studiów, działalności kulturalnej i obrony praw człowieka w Polsce. Grupy te publikują liczne czasopisma polityczne, społeczne i kulturalne. Reprezentują różne spojrzenia, ale są

123.000,- dolarów USA

POLISH AMERICAN CONGRESS CHARITABLE FOUNDATION (Fundusz Pomocy Dobroczynnej Kongresu Polonii Amerykańskiej) w celu zarządzania czterema programami udzielania pomocy ruchowi demokratycznemu w Polsce. Pierwszy program przeznaczony jest dla wspomagania *niezależnych producentów filmowych* w Polsce aby umożliwić im produkowanie nowych filmów oraz nabywanie istniejących filmów w celu reprodukcji na videokasety, tak aby mogły być wyświetlane przez niezależne organizacje w Polsce. Drugi program zajmuje się dostarczaniem pomocy materialnej w postaci żywności, lekarstw i ubrań dla więźniów politycznych w Polsce i ich rodzin. Trzeci program obejmuje pomoc udzielaną na aktywność prowadzoną w Polsce przez niezależne *Committees for Education, Culture and Science - OKNO* (Komitety na rzecz Oświaty, Kultury i Nauki). Przedmiotem działania tych trzech komitetów ma być zachęcanie i udzielanie pomocy niezależnym od rządu działaniom, które odzwierciedlają autentyczną kulturę narodową i duch narodu polskiego. Czwarty program przewiduje pomoc na kontynuowanie działalności *Polish Helsinki Watch Committee* (Polski Komitet Helsiński), grupy niezależnej, która monitoruje pogwałcenie Aktu Helsińskiego w Polsce.

263.000,- dolarów USA

POLISH INSTITUTE OF ARTS AND SCIENCES OF AMERICA, Inc. - PIASA (Polski Instytut Sztuk i Nauk w Ameryce) w celu przygotowania publikacji trzech książek w języku polskim na temat rozwoju demokracji w Polsce w okresie 1939-1969. Książki będą zbiorem prac napisanych przez polskich przywódców politycznych i intelektualnych z Polski i z Zachodu, powstałych w tym okresie, płodnym dla rozwoju polskiej myśli politycznej, ale bieżąco zakazanych do swobodnego kolportażu w Polsce.

25.000,- dolarów USA